Teh5

WIENIEC

PISMO DODATKOWE

DO

GAZETY WARSZAWSKIÉJ

POŚWIĘCONE LITERATURZE

Różnéj barwy i woni kwiatki mieszczę w sobie
Tych wonią serca pieszczę tych się barwą zdobię.

Rok drugi Tom II.

MIESIĄC MAJ

WARSZAWA

1840

Zofia Szepietowska

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj

JUTRZENKA.

Spytaj cichego mieszkańca wioski.
Którego czyste sumienie.
Umysł spokojny, wolny od troski,
Uczciwe choć małe mienie.
Zapytaj—co go do pracy budzi,
Wglądając w chaty okienka,
Co rozwesela, choć praca trudzi,
On rzeknie — złota jutrzenka.

* * *

Promyk jutrzenki radość przynosi,
Dla poczciwego człowieka,
On dobroć Stwórcy naszego głosi,
Jego opiekę przyrzeka.
Pragnie go smutny, tęskny kochanek,
Gdy serce cierpi w niedoli,
Bo mu wschodzący złoty poranek,
Kochankę ujrzeć dozwoli.

* * *

Rodzina w nędzy wiodąca życie,
Cierpiący boleść kaleka,
By łzy osuszyć płynące skrycie,
Promyka jutrzenki czeka.
Jego wędrowiec pragnie zbłąkany,
Gdy bliski rodzinnéj chatki,
Bo mu sprowadza uścisk kochany,
W objęciach ojca i matki.

* * *

Jutrzenką życie zaczyna człowiek,
Jutrzenka wita go błoga,
Gdy mu sen słodki uchodzi z powiek,
Ona myśl wznosi do Boga.
Przez całe życie promyk jéj świta,
Prowadząc nas do przyszłości,
A za grobowcem zawsze nas wita,
Złota jutrzenka wieczności.

J. H....

JESIENNY WIECZOR

Dziadek mojego przyjaciela Merwila pan Sejan, daj mu Boże królestwo niebieskie, — był bardzo dobrym starcem; nigdy nie zapomnę tych kilku dni, które strawiłem przy końcu jesieni zdaje mi się w 1806 roku, w jego dziedzicznéj wiosce Sarotc. Jakby dziś, widzę jeszcze ze

dwadzieścia włościańskich chałup rozrzuconych na wysokim brzegu rzeki, wysoki murowany pałac wybudowany na podziwienie przyległego miasta, na dwa piętra, ze wschodami, i z grubemi ścianami.

Nie znałem się jeszcze z panem Sejan, gdy do sąsiedzkiego miasta za interesami przyjechałem, opatrzony listem polecającym do burmistrza, stanąłem w niego i tu po raz pierszy usłyszałem o bogatym obywatelu, byłym pułkownika Sejan. Nie było dnia, żeby w tutejszych wyższych towarzystwach nie rozmawiano o jego dziwactwach, burmistrz, sędzia, ławnik, kasjer, exaktor, słowem cały wielki świat naszego miasta, uważali go z niedobréj strony: jedni mówili że on jest nietowarzyski i dumny; drudzy nazywali go półgłówkiem;

Prawda, że komendant powstawał przeciwko tej potwarzy, ale że on jeden tylko z całego miasta, żył w przyjaźni z panem Sejan, przeto też nikt wiary nie dawał jego słowom. Kto nie chce żyć z ludźmi mawiał burmistrz, ten nie musi mieć czystego sumienia. Bo żeby

przynajmniéj był skąpcem? ale to nie! patrz tylko, jak sypie pieniędzmi, gdy się przeszłego roku wydarzył pożar w wiosce przyległéj naszemu miastu, i zbierano składkę na pogorzelców, to on jeden dał więcéj, niżeli u nas całe miasto. Zastanówcie się tylko panowie czy on z oszczędności mieszka w téj wiosce w któréj ornego pola dwór dziesięciu włók niema? człowiek taki bogaty, który z tamtéj strony miasta ma ogromne dobra, ale jakie to są dobra, jest do czego rękę przyłożyć, każdy włościanin ma po piętnaście morgów,—a jakie z nich czynsze! Jakie ogromne łąki, las budowlany, młyn o ośmiu gankach; prawdziwa kopalnia złota. Ale nie chce mu się na nich mieszkać, dla tego że miasto zaraz pod bokiem; rozumie się, przydawał zwykle burmistrz, poprawiając halstuch, że u nas jest dobór nienajgorszych towarzystw. Mamy przy tém walny jarmark na S. Piotra? Publiczność tutejsza oświecona, mamy teatr, bale, słowem co zechcesz. Plotek tu żadnych nie słychać, damy nigdy się z sobą nie sprzeczają a gdzie się obrócisz wszędzie śpiewają, po włosku.

Chociaż wszystkie pochwały dawane miastu zdawały mi się zbyt pochlebnemi, lecz bez względu na to, podzielałem w zupełności zdanie burmistrza. W istocie co za powód mógł nakłonić bogatego człowieka do zamieszkania w biednéj wiosce, o sześć mil od najbliższego miasta, a przynajmniéj trzy mile od najbliższego sąsiada, i mieszkać w jakimś zaczarowanym domu, — jak go nazywa siostra burmistrza, z dojrzałą twarzą, już cokolwiek pobladłą, ale z młodą duszą, i sercem może aż do zbytku romantycznėm. Ona jedna zapisywała z Paryża romanse pani Radcklif, i pierwsza doniosła miastu o istnienia pani Genlis.

— Nie wyobrazisz pan sobie, mówiła mi jednego dnia, jakie wrażenie robi na wszystkich, jego stary dwór, któremu brakuje tylko baszt i zwódzonego mostu, żeby był podobny zupełnie do Glaswidskiego Opactwa. Gdybyś pan wiedział, co tu opowiadają o nim cudownych i strasznych historji! Mówią, że przed stu laty, dawny właściciel, założył w nim jaskinię zbójców; że głębokie podziemia pod tym domem, są i teraz napełnione ludzkiemi kośćmi; że po

nocach pokazywały się w nim nadzwyczajne zjawiska, słyszany bywał straszliwy jęk, i chociaż nasz komendant utrzymuje że to szum wiatru po wązkich przejściach, i korytarzach, których ma być bardzo wiele w tym domu, lecz on mówi tak tylko dla tego, że żyje w przyjaźni z panem Séjan. Nieboszka moja mama, opowiadała mi okropne zdarzenie, szkoda tylko że treści jego już zupełnie zapomniałam, a zdaje się że to tak, niedawno, prawda, byłam wtenczas jeszcze dzięckiem, i ile pamiętam, tak się przestraszyłam, że całą noc zasnąć nie mogłam. W to zdarzenie wchodzą rozbójnicy, upiory, jakaś podróż nocna. Mama przysięgała mi, że w naszém mieście nie ma żadnego starca, któryby nie wiedział o wszystkich szczegółach tego zdarzenia. Mówią także, że toż samo co się kiedyś zdarzyło w nocy w tym przeklętym dworze, trafia się i teraz czasami, zwłaszcza od téj pory, jak teraźniéjszy właściciel w nim zamieszkał.

—A przed panem Séjan czy nikt w nim nie mieszkał? zapytałem czterdziestoletnią siostrę burmistrza, która tak niedawno jeszcze była dzieckiém.

— Nikt! Dwadzieścia lat temu, wszystkie drzwi i okna były w nim zamknięte.

— Jaka szkoda że nie znam pana Séjan! myślałem bardzo często słuchając tych opowiadań. Wstyd mi przyznać się, a grzech zamilczéć, — że zawsze byłem lubownikiem strasznych powieści, i nie tylko wierzę, lecz nawet nie powątpiewam o istnieniu czarno-księżników, zjawisk nocnych i upiorów opuszczających swoje mogiły, równie jak i ognistych żmij które przylatują do wdów na wsiach, rozsypują się nad dachem ich domostw, i ukazują się im w postaci nieboszczyków mężów, po których onę tęsknią. Prędzéj uwierzę, że Napoleon nie przeszedł przez góry Pirenejskie, niż zacznę powątpiewać że na nich niegdyś mieszkały widmy. Nie zdołam opisać, jaką niepojętą czuję roskosz słysząc powieść, od któréj włosy mi na głowie powstają, serce bić przestaje, i mróz przechodzi mi po skórze. Niech sobie panowie uczeni, ci zimni poszukiwacze prawdy, ci Tomasze niewierni, którzy powątpiewają nawet o tém, że jednym wyrazem można oczarować człowieka, śmieją się z mojej łatwowierności, — ja się z niemi nie pomieniam na ich suche, matematyczne rachuby,

na ich zamrożony rozsądek, moje dziecinne ale rzeźwe i ciepłe myśli, więcéj u mnie mają wartości. Jedno mnie tylko zasmuca: oto bez względu na przysłowie, że *zwierz biegnie na strzelca*, przez całe życie nie trafiło mi się widzieć nic cudownego, a nawet wszyscy czarownicy, na których trafiałem, jakby na śmiech byli pospolitemi oszustami. Wiem z pewnością że wielu patrząc w dwa zwierciadła, postawione naprzeciw siebie, widzą Bóg wie co; a já nieraz patrzyłem tak długo, póki mi się nie zrobiło słabo, i w oczach się nie zazieleniło, a nic więcéj nie widziałem, tylko nieskończoną perspektywę i jakieś ciemne piętno, które jak się potém pokazało, nie było czém inném, tylko zwyczajną plamą na zwierciadle. Już ja robiłem różne doświadczenia! Dwa lata temu poszedłem w dzień Śgo Jana w nocy do lasu, chcąc zobaczyć kwiat paproci; lecz gdy się północ zbliżać zaczęła, taki mnie ogarnął przestrach, że zacząłem uciekać nie oglądając się, i chociaż słyszałem za sobą nadzwyczajny szelest, z pewnością jednak nie mogę powiedzieć, czy to pochodziło od piekielnéj potęgi, czy też prosto wiatr

szumiał po lesie. Drugi raz, gdym mieszkał na wsi, zdecydowałem się pójść na cmentarz. Przecież pomyślałem, choć jeden umarły wylezie ze swéj mogiły na przechadzkę! I w istocie, gdym się zbliżył do cmentarza, spostrzegłem cóś podobnego do trupa w białéj odzieży. Ach, jak biło mi serce, z bojaźni i roskoszy! jak przyjemnym dreszczem oblany byłem od stóp do głowy! jak drgnęły podemną kolana! Dotąd nie mogę wspomnieć o téj okropnie zachwycającéj chwili. Żegnając się i z modlitwą na ustach, zacząłem uciekać do domu, rzuciłem się na pościel, i całą noc,to budziłem się jak w gorączce, to drżałem jak w febrze. A tak, pomyślałem, ledwie oddychając z radości, ten nieznany świat istnieje w istocie; umarli chodzą po nocach około grobów, ich dusze odwiedzają ziemię, i to wszystko co panowie pedanci nazywają dziecińswem, oszustwem, białą gorączką, jest prawdą. I cóż kochani czytelnicy? jak myślicie, na czém to się skończyło? Na drugi dzień zacząłem rospowiadać to zdarzenie burmistrzowi, ten niegodziwiec rozśmiał się, i rzekł mi; — Niepotrzebnie pan się przęstra-

szyłeś, to zapewne, chodził po cmentarzu mój synowiec, on cierpi mocną gorączkę i przeszłéj nocy wybiegł z pokoju, wtenczas gdy wszyscy spali. Jakto? zawołałem, to on nie był umarłym? — Eh, panie rzekł, burmistrz zimno, gdzie teraz umarli? To dawniéj ludzie byli tak głupiemi, a teraz i małego dziecka nie ustraszysz temi babskiemi bajeczkami. — Babskiemi bajeczkami!... Krew we mnie zawrzała, tupnąłem nogą, krzyknąłem, a gdyby był ten zimny burmistrz nie wyszedł z mego pokoju, to byłbym mu się włosów uczepił. Bo i jakże nie miałem się gniewać? Pomyślcie tylko, — mój Boże! niedziwiłbym się gdyby w Paryżu, ale to na wsi, w małém miasteczku, zaczęli już rozumować!

Po tém wszystkiém co powiedziałem, czytelnik może sobie wystawić, jak gorąco pragnąłem poznać się z panem Séjan, lecz nikt, nawet sam komendant, nie myślał zanieść mnie do niego, już zaczynałem tracić nadzieję, gdy oto pewnego poranku, przechodząc przez miasto, dostrzegłem że ktoś jedzie w podróżnym powozie. Przyglądam się — to mój dawny

przyjaciel, kolega, Merville. Obadwa krzyknęliśmy, powóz się zatrzymał, Merville z niego wyskoczył, i zaczęły się pytania.

— Gdzie pan Bóg prowadzi?

Na wieś do mego dziadka. A ty co tu robisz?

— Jestem tu za interesami.

— Jedź ze mną razem. Zapoznam się z dziadkiem, — jest to starzec bardzo godny...

— Nie, mój drogi; nie mogę. Mam tu jeszcze wiele zatrudnień.

— Jedźmy, to bardzo blisko: małe sześć milek tylko do dóbr Sarote...

— Małe sześć milek?... do Sarote?... a jak się twój dziadek nazywa?

— Jan Séjan...

— Séjan?...

— Tak.

— O kiedy tak... jadę z tobą, kolego!

— Czy znasz się z nim?...

— Nic; lecz tylko o nim słyszałem... Poczekaj! Wrócę do domu, zabiorę z sobą mój tłomok, i za chwilę tu stanę!

— Jak rzekłem, tak zrobiłem: w kwandrans siedziałem już z Mervilem, w jego powozie, który kołysząc się na lekkich resorach, leciał jak strzała z łuku po wzgórkach i wybojach drogi wiejskiéj. Z początku rasowe konie, starały się samych siebie wyprzedzić, lecz ubiegłszy cztery mile zaczęły bieg zwalniać, i nakoniec z trudnością wstępować na krętą ściesżkę, wiodącą przez górę. W około nas widok był dosyć przyjemny: po lewéj stronie rozciągały się złociste pola, na których gdzie niegdzie stały kopy zżętego zboża, po prawéj, rozciągał się gęsty las, a wdali przez niewielkie przesieki dojrzeć można było niebieskawe wierzchołki góry. Gdy strudzone konie wolno postępując odpoczywały, Merville, opisywał mi teraźniejsze swoje zabawy, zatrudnienia, gospodarstwo, i nakoniec ognistą swą miłość ku wiejskiéj sąsiadce, młodéj wdówce, — która jak mówił mój przyjaciel, wzdychając i zapalając czwartą fajkę, przysięgła zamęczyć mnie zwłoką, i dotąd nie dać stanowczéj odpowiedzi, póki nie znosi pół tuzina czarnych sukien, z jakiegoś, pewnie skarbowego sukna, bo

już drugi rok zedrzeć się nie mogą. Żeby zapomnieć o moich cierpieniach, mówił daléj Marville, umyśliłem parę tygodni zabawić u mojego dziadka, i bardzo jestem szczęśliwy, żem się z tobą spotkał.

— Ale czy tylko z tego będzie kontent twój dziadek, ja bardzo chciałbym go poznać, lecz powiadają że on nie jest towarzyski... Tak, on nie pragnie zabierać nowych znajomości, osobliwie z temi panami z miasta, oni tak są wymagający, ciągle trudzą wizytami, a on człowiek stary, lubi spokojność, i za ciężki do robienia honorów domu. Ty — to zupełnie co innego! — ty wszystko przebaczysz, a prócz tego jesteś dawnym przyjacielem i kolegą jego wnuka po siostrze, którego on tak kocha, jak rodzonego syna, — ale prawda że i ja go bardzo kocham!

— Bądź łaskaw powiedz mi, co on ma za przyjemność mieszkać w téj puszczy?

— Ma w tym swoje powody.

— Naprzykład?

— To cały romans mój przyjacielu. Przed

wszystkiém należy ci powiedzieć, że mój dziadek, był kiedyś ubogim człowiekiem, nie mógł ani pomyśléć o żadnéj sukcesji, mógłże się bowiem spodziewać że czterech jego przyrodnich braci, i dwie kuzynki w jednym tygodniu umrą odzarazy, która grasowała w 1771 roku. Wieś w któréj teraz mieszka, należała wówczas do pana Demare; skąpca, złośliwego człowieka, i jeżeli można dać wiarę podaniom, jawnego rozbójnika. Ten pan Demare miał córkę, piękną, i ozdobioną jeszcze piękniéjszemi przymiotami duszy.

Nie wiem gdzie i jak ją mój dziadek poznał, jakim sposobem poznał jéj ojca; cała rzecz na tém się opiera, że się po uszy zakochał w Zofji—a na nieszczęście i ona go polubiła. Raz na polowaniu, uganiając się razem z ojcem swojé kochanki za zającami, mój dziadek odważył się odkryć mu swoje serce. Pan Demare rozgniewał się, obsypał dziadka obelgami, nazwał żebrakiem, i oświadczył iż jeżeli kiedy zbliży się do jego wsi, to każe wypuścić całe stado gończych i zaszczuje go jak zwierza. Mój dziadek wszedł do wojska, bił się tak że otrzymał na-

zwisko cudownego bochatera, przebity bagnetem w jednéj potyczce, z podziwieniem całej armji został przy życiu, wyzdrowiał; dowiedział się, iż mu z nieba spadła bogata sukcesja, ale już było zapóżno. Zofja zachorowawszy z tęsknoty, już dawno spoczywała na miejskim cmentarzu, a jéj ojciec w dwa miesiące po jéj śmierci, kark skręcił, szczwając wilka.

Mój dziadek wziął dymisją, przysiągł nigdy nie żenić się, i w końcu dokazał tego, że mu sprzedano wioskę w któréj mieszkała jego kochanka — Pan Bóg mi nie dopuścił być mężem Zofji — święta niech będzie jego wola! Jeżeli nie było mojém przeznaczeniem żyć z nią na ziemi, to chociaż w ziemi będę leżał z nią razem. Tak zawsze mówi mój dziadek, i oto już dziesięć lat, jak nie wyjeżdżając na chwilę, mieszka ciągle w téj wiosce.

— O, więc twój dziadek jest człowiekiem bardzo interesującym: czy wiesz mój przyjacielu, że gdyby był młodszym nie radziłbym ci opowiadać wszystkim jego historję.., Tyle w niéj jest romantyczności, że obawiać się sam powi-

nieneś, ażeby się nie znalazła nowa Zofja, a jeżeli ty masz być jedynym jego sukcessorem...

—Tak mój przyjacielu! dałby Bóg żebym przez całe moje życie nie wszedł w prawa następcy po nim, raz pochować rodzonego ojca było ciężko, a dopiero podwójnie na wieki zostać sierotą, — Nie dopuszczaj panie! Lecz oto zdaje mi się... mamy już tylko nie całe półmilki. Czy widzisz tam w oddaleniu dębowy gaj?... za nim są zaraz falwarczne budynki. a tam wygląda z za wierzchołków drzew złocony krżyż: to kościół zbudowany przez mojego dziadka nad grobem Zofji

— Ach, mój Boże! przerwałem, spojrzawszy z przestrachem. Czyż się spuściemy w tę przepaść?

— Stój! zawołał mój przyjaciel: zapewne że lepiéj wysiąść.

Powóz się zatrzymał, a gdy ludzie jego wstrzymywali tylne koła, my tymczasem szliśmy daléj piechotą. Pokryty gęstą krzewiną pagórek po którym spuszczaliśmy się, w saméj rzeczy był podobny do przepaści na

dnie, któréj z szumem płynął mętny potok. Im niżéj schodziliśmy, tém przykrzejsza i spadzistsza była droga. Gdy spojrzałem za siebie, zdawało mi się że powóz zaczął się spuszczać niżéj, wisząc nad naszemi głowami.

— Czy wiesz mój przyjacielu rzekł Merville, że ten pagórek, choć nie jest usypany ręką ludzką, jednak może się nazywać emętarzem: on cały składa się z mogił.

I w istocie większa część powierzchni pokryta była maleńkiemi wzgórkami, i gdzie niegdzie widać jeszcze było na wpół przegniłe drewniane krzyże.

— Czy to nie wiejski cmentarz? zapytałem.

— Nie, mój przyjacielu: tu spoczywają ofiary okrucieństwą rozbójników.

— Rozbójników! powtórzyłem, mimowolnie oglądając się w około.

— Nie lękaj się! mówił daléj Merville. To są bardzo odległe wspomnienia. W naszych czasach usłyszyć możesz tylko o rozbójnikach tak jak o czarach, wiédmach, czarno księżnikach, upiorach, i reszcie rzeszy piekielnéj, od

w pływu której przodkowie nasi opędzić się nie mogli.

— No, Bóg wié co o tém myśléć należy, rzekłem pół głosem: na rozbójników mamy policję...

— A na czarowników i upiorów mamy oświatę.

— Och, co mi tam oświata! przerwałem z gniewem. Nie o tém tu mowa. Powiedz mi lepiéj jak się tu mogli gnieździć rozbójnicy? Czy przechodziła tędy jaka główna droga? Bo po tych wąwozach niemieliby kogo rozbijać.

— Główna droga, jest z tąd o ćwierć mili. Dziadek dawniéjszego posiadacza wsi do któréj jedziemy, utrzymywał w swoim domu gromadę rozbójników; to jeszcze nic by nie znaczyło,—był czas że rozboje, zwłaszcza w naszych pogranicznych prowincjach nazywały się tylko junactwem, o dziadku pana Demare powiadają; że on był w przyjaźni z samym szatanem, i równie jak znakomity czarnoksiężnik Faust, zakabalił mu na wieki wieków swoję duszę. Rozumié się, on wcale nie potrzebował pieniędzy: djabeł dopomagał mu do szukania skarbów: a nawet nie

raz dla żartu talarki z rzepy i marchwi zamieniał mu w złote i srebrne pieniądze. Lecz on lubił dla zabawy, jak na polowanie wyjeżdżać na rozbój. Nikomu nie przebaczał. Szlachtę i bogatych kupców zapraszał do siebie umyślnię w gościnę, poił, karmił dzień i noc,—a potém Bóg wié co z niemi było. Mówią tylko że kto z tych mimowolnych gości przejeżdżał w którą kolwiek stronę, ten już nigdy potém napowrót nie powracał. Z prostemi ludźmi nie robił żadnych ceremónji, kazał zabijać na prostéj drodze, a potém rzucać na ten pagórek. Następnie dobrzy ludzie, zebrawszy ich kości, chowali je w ziemię. I ztąd to pochodzi wieść, że w każdym roku, w Wigilją Bożego Narodzenia, wszyscy ci zmarli powstają z mogił, i sprawiają sami sobie pogrzeby. Gdyby ci to chciał opowiedzieć mój dziadek, to byłoby czego posłuchać, on lubi opowiadać podobne bajeczki.

— Bajeczki! powtórzyłém z niecierpliwością, dla czego bajeczki? Och, wy mędrcy! Słuchając was, niczemu nie powinnibyśmy wierzyć.

— Czy ty rzeczywiście wierzysz tym baśniom?

— Eh, bracie, cóż my możemy wiedzieć? My nie widzimy daléj od innych, całe życie gramy w ślepą babkę, a jednak mówiemy z pewnością, to dzieciń以stwo!—to nie może być!—to się sprzeciwia zdrowemu rozsądkowi! — niepewne wyobrażenia, ciemne domysły, jakieś słabe światło, które czasem zabłyśnie w ciemności, jakby umyślnie dla tego, żeby po niem jeszcze się ciemniéj zrobiło. Nie trudno mówić, „ja temu niewierzę!" Lecz proszę mi dowieść, dla czego ja nie powinienem temu wierzyć, co tobie zdaje się nie podobném. — Nie! ja jeszcze nie wiem kto bardziéj błądzi, czy ten kto wierzy że wszystko jest igraszką, co tylko nieda się wyjaśnić fizycznemi prawami natury, azy....

— Czy wiesz, mój przyjacielu, przerwał Merville, że ty się niezawodnie podobasz się mojemu dziadkowi. On także, jak ty, gotów się rozgniewać, gdy go zaczną upewniać, że dusze umarłych, nie okazują się nigdy żywym, opowie ci zaraz dwadzieścia przypadków dowodzących przeciwnie. Lecz oto już powóz wyjechał na drogę. Nie wiém jak ty, bo ja to jestem bardzo strudzony. Siadajmy!

Gdy przyjechaliśmy dębowy gaj, murowany pałacyk pana Séjan pokazał się nam w całéj swojéj posępnéj wielkości. Stał on wpośrodku wielkiego dziedzieńca, chwastem zarosłego. Główna fasada, w trzynaście wąskich okien z szerokiemi przedziałami, ciągnęła się w poprzek całego budynku; paradny zajazd, z ciężkim dachem na czterech drewnianych słupach, przystawiony był do samego środka domu, za którym wielki owocowy ogród spuszczał się aż do podnóżka góry, na szerokim trawniku stała wysoka baszta, z wywieszoną flagą i ogromnym zegarem.

— Oho, rzekł Merville, gdy wśród głośnego szczekania kilku psów, wjechaliśmy na dziedzieniec, to widzę goście u dziadka, lektyka, bryczka, i kolasa zdaje się naszego komendanta. Tém lepiéj, będzie nam wesoło.

Dwóch wysokich służalców, nie wykwintnie lecz porządnie w liberją ubranych, przyjęło nas z powozu. Weszliśmy w obszerną sień. Na lewo jedne drzwi prowadziły do przedpo-

koju, na prawo drugiem zapewne wchodziło się dawniéj do panieńskiego pokoju, lecz te były stale zamknięte, i zamurowane cegłą. Proszę czytelników zanotować to sobie. — Przeszedłszy przez pokój bilardowy, stołowy, i dwa bawialne, z których jeden pokryty był chińskiém obiciem, spotkaliśmy we drzwiach zasłonionych dywanem gospodarza domu.

— Jak się masz, kochany Alexandrze! jak się masz, mój przyjacielu! zawołał, ściskając kilka razy swego kuzyna. Dobrze że odwiedziłeś staruszka, tak już zatęskniłem po tobie, że chciałem umyślnego wyprawić.

— Przedstawiam dziadkowi, rzekł Merville prowadząc mnie do pana Séjan: mojego prawdziwego przyjaciela: już dawno nie widzieliśmy się, choć byliśmy niegdyś nierozdzielnemi towarzyszami, i na pensji, i w koszarach, i w szkole tańca, i w walce z nieprzyjacielem, — słowem wszędzie. Dawno się z nim nie widziałem, lecz spotkałem go w mieście, i postanowiłem tu przywieść.

— Witam pana! rzekł pan Séjan, podając mi rękę. Kto był kolegą mojego Alexandra na

polu bitwy, ten będzie zawsze drogim gościem u mnie.

Nie pamiętam co odpowiedziałem gospodarzowi, lecz zdaje mi się że nic, tak byłem zrażony jego szlachetną postawą, że zupełnie zapomniałem używanych zwykle w podobnych przypadkach, wyrażeń, frazesów, i czułych zapewnień, w których zwykle nie ma ani na włos prawdy. Wyobraźcie sobie człowieka wysokiego wzrostu, w wieku lat sześćdziesięciu pięciu, w uniformowym wojskowym surducie, wyobraźcie sobie rumianą twarz i czarne poprzetykane siwizną włosy; wysokie, pokryte marszczkami czoło, i jasne pełne wesołości oczy; wspaniałą postać dzielnego dowódzcy pułku, łagodny, szczery uśmiech, nie opuszczający jego uprzejmych ust, ocienionych gęstemi wąsami, o których nie wiem coby teraz powiedzieli eleganci francuzcy. W życiu mojém nigdy nie widziałem, starca z tak ujmującą powierzchownością, i przyznam się, bardzobym się zadziwił, gdyby jaka piękność namyślała się czy być jego żoną, czy nazwać go swoim ojcem.

— Pozwólcie do mojego gabinetu! rzekł. Ty Alexandrze, znajdziesz tam dawnych twoich znajowych! Lecz proszę także z nami, mówił daléj, obracając się do mnie; bo jeżeli nie, to byś pan tu niezawodnie zabłądził. U mnie w ogrodzie nie ma labiryntu, lecz za to w domu jak między przekopami, takie zakręty, że trudno trafić do ładu.

W istocie przechodziliśmy z pokoju do pokoju, dwoma korytarzami, to wznosiliśmy się o kilka wchodów, to znów schodziliśmy niżéj, i nakoniec przeszedłszy około żelaznych drzwi skarbca! znajdującego się w okrągłéj baszcie, która niewiadomo na co była przylepiona do lewego narożnika domu, weszliśmy jeszcze w jeden korytarz, w końcu którego mogłem dosłyszéć głosy rozmawiających.

Tu był dawniéj pokój panieński, rzekł pan Séjan, zbliżając się do wpół otworzonych drzwi; lecz ponieważ jestem bezżenny, przeto postanowiłem jedne drzwi prosto z wjazdu; zamurować, i pokój zmienić na mój gabinet: w zimie tu jest najciepléj i nie ma wilgoci.

Sądząc po wielkości, i pierwotném przezna-

czeniu pokoju, w który weszliśmy, łatwo się można domyśléć, że poprzedni właściciel miał znaczny dwór, a osobliwie że więcéj u niego musiało być kobiet niż męszczyzn. Cztery okna wychodzące na tyły, zajmowały jedną ścianę; inne ściany były pokryte malowidłami różnych czynów wojennych, i wyobrażeniami znaczniéjszych bohaterów, zeszłego wieku. Miejsce, w którém były drzwi zamurowane, pokryte było szerokim perskim dywanem. Między oknami wisiała broń i trofea zwycięztw właściciela. W jednym rogu stała gromada czereśniowych cybuchów, z glinianemi złoconemi fajkami, i bursztynowemi munsztukami: w drugim po obu stronach szerokiego komina, wisiało kilka fuzji pojedyńczych i dubeltówek, nożów myśliwskich, a w około ścian rozstawione były sofy pokryte wełnianą turecką materją.

Gdy weszliśmy do gabinetu, trzej goście, w liczbie których był i dawniéj mi znajomy komedant, pracowali w pocie czoła; wśród głębokiego milczenia, nad zastawionym na stole śniadaniem. Po pierwszych przywitaniach, i przyjacielskich uściskach, Merville zaczął zapo-

znawać mnie z gośćmi swojego dziadka. Pierwszy do którego mnie zaprowadził, był pan Laroche, od jednego rzutu oka, naznaczyłem mu lat siedmdziesiąt; lecz dobrze go obejrzawszy, przekonałem się, że pomimo zapadłych lic, wyciągniętego naprzód podbródka, i siwych jak śnieg wąsów, młodszy jest od gospodarza. Złoty krzyż w dziurce od guzika, jasno dowodził, że on był niegdyś kolegą pana Séjan.

Drugi, Alexander Remine, człowiek około lat czterdziestu pięciu, tłusty, z szerokiemi jasno złotemi faworytami, z małemi błyszczącemi oczami, z taką śmiejącą się i wesołą fizjonomją, że patrząc na niego, i płaksa Heraklit, — jeżeli rzeczywiście istniał, a nie był tylko wymyślony dla antitezy i rymu z Demokrytem, — zaledwieby się wstrzymał od śmiechu. Trzeciego gościa komendanta, już dawniéj znałem lecz nie znają go jeszcze moi czytelnicy, i dla tego poczytuję za konieczność powiedzieć o nim słów kilka. Był on dawniéj kapitanem w dragońskim pułku, wziął uwolnienie od służby, dla zaszczytnie odniesionych ran, a

teraz na nowo wróciwszy do wojska, został komendantem naszego miasta. Obywatele wszyscy go lubili, mieszkańcy modlili się za niego, a złodzieje, oszuści i pijacy, bali go się jak ognia.

Zaznajomiwszy czytelników z całém towarzystwem, w którém najprzyjemniéj przepędziłem dni kilka, muszę dodać, że pierwszego dnia po przyjeździe moim, pogoda zaczęła się zasępiać, wieczorem niebo się zachmurzyło i lunął gęsty deszcz; ten wkrótce zamienił się w jesienną słotę, w czasie któréj, i was kochani czytelnicy brała tęsknota. Nie było co robić, nie można było, ani pójść z fuzją na polowanie, ani pływać w łódce po rzece, wprawdzie można było jeździć z chartami na zające, lecz do tego trzeba wielkiego miłośnika polowania z psami, a z całego naszego towarzystwa jeden tylko Merville, czasem dojeżdżał, i to tylko po pierwszych mrozach, gdy śnieg dobrze pruszył, albo w jasny jesienny dzień ku zmrokowi; ale jeździć z psami od rana do wieczora, w deszcz i słotę, dla tego, żeby stracić jeszcze jakiego charta, wcale nie było mu przyjemnie. Prócz tego

nie można powiedzieć żebyśmy nie mieli żadnego zajęcia, w dzień piliśmy kawę, jedliśmy śniadanie, obiad, graliśmy w bilard, i czytaliśmy gazety. Po obiedzie, około godziny siódméj, wszyscy zgromadziliśmy się w gabinecie pana Sjéan, siadaliśmy około komina, i aż do saméj kolacji skracaliśmy czas rozmową, i dla tego też przedmiotem jéj były po większéj części nadzwyczajne zdarzenia, i wszystko co tylko fizycznie doświadczoném być nie może. Uwaga, z jaką wszyscy słuchali tych opowiadań, jasno pokazywała, że nikt nie wątpił, o ich prawdopodobieństwie, jeden tylko Merville, uśmiechał sie czasem, lecz nikt tego nie dostrzegał, a nawet wesoły Remine — choć mu czasem dawał nieme znaki, a nawet nieraz szeptał po cichu do ucha, głośno przysięgał się, że wierzy bez wyjątku we wszystkie straszne powieści, dla tego zwłaszcza, że i jego samego raz przez noc całą dławiła zmora.

Powieści i opowiadania które słyszałem w ostatnim wieczorze mojego pobytu u pana Sejan zdawały mi się tak ciekawemi, żem je zapisał w podróżnym dzienniku. Obawiając się żeby mnie nie uważano za człowieka zabobonnego,

dotąd nie śmiałem ich wydrukować, lecz gdy widzę że od niejakiego czasu powieści o czarnoksiężnikach zaczęły bardzo zajmować naszą publiczność, postanowiłem wydać je na świat. Nie śmiem przyrzekać moim czytelnikom, że one ich zabawią, a przynajmniéj nudzić nie będą; lecz niezłomnie obstaję za prawdziwością zdarzeń. Tak, szanowni czytelnicy! powtarzam że one są bez porównania prawdziwsze, niż wiele innych historji opartych na podaniach i faktach nie ulegających żadnemu powątpiewaniu.

Wiatr dął w drzewiny, silny deszcz jak przez gęste sito lał się na rozmokłą ziemię. Jeszcze na miejscowym zegarze nie wybiła godzina szósta, a na dworze było już tak ciemno, jak w najgłębszym lochu. Wszyscy zebraliśmy się w gabinecie; gospodarz, pan Laroche, ja, Mervile, i pan Remine zasiedliśmy na szerokiéj sofie, i w milczeniu paląc fajki, poiliśmy się roskoszą téj moralnéj i fizycznéj bezczynności, którą we włoszech nazywają *il dolce far niente*...

— To słota, rzekł nakoniec Laroche przy-

słuchując się szumowi wiatru; że aż dreszcz przechodzi!

— Eh, daj pokój bracie! przerwał pan Séjan, tu jest dosyć wesoło! Cóż może być przyjemniejszego, jak siedzieć w niepogodny jesienny wieczór z kilku przyjaciołmi przed kominkiem, palić fajkę, a widząc dobrze zamknięte okna, myślić: wiéj sobie wietrze, léj deszczu, wyj sloto, a mnie to nic nie obchodzi! Trzeba przyznać że to był bardzo rozsądny człowiek, ten kto pierwszy wymyślił budować domy.

— I robić w nich kominy, przydał komendant.

— O, w taką pogodę, rzekł Laroche wytrząsając fajkę; nie w każdym usiedzisz domu. Ja sam niegdyś w największą zawieruchę i w ulewny deszcz, wolałem przepędzić noc pod odkrytém niebem niż w izbie, w któréj było tak przestronno i ciepło jak w tym pokoju.

— A dla czego? zapytał komendant, zapewnie gospodarze nie byli panu bardzo radzi?

— No, nie! Jeden gospodarz obszedł się ze

mną bardzo przyjaźnie, a inny choć mnie chciał dobrze przyjąć, lecz mi to jednak nie było przyjemnie.

— Więc cóż? zapytał pan Séjan, to widać bracie cała historja.

— Tak przyjacielu, taka historja rzekł Laroche, znowu sobie nakładając fajkę, że jeszcze gdy teraz wspomnę o tém, włosy mi na głowie powstają.

— Cóż to znowu pan mówisz? zawołał Merville. Panie Laroche, byłeś w wojsku, a przyznajesz się do bojaźni.

— Tak panie, postaw mnie choć teraz naprzeciw nieprzyjacielskiéj baterji, — widzi Bóg, nie ucieknę! lecz oto gdy się gdzie zamiesza nieczysta siła, to wtenczas, i pan nie będziesz bardzo odważny. Djabeł nie armata, nie podejdziesz go.

— Oho! rzekł Remine mrugnąwszy na Merville, to do pańskiego zdarzenia i djabły wchodzą.

—Smiej się pan! Ja wiem, pan jesteś oczytany, to niczemu nie wierzysz.

— Kto? ja? przerwał Remine, przeżegnaj się pan.

— Dobrze, dobrze, tak to się mówi, lecz my ludzie nieoświeceni, wierzemy w to w co ojcowie i dziady nasi wierzyli.

— Lecz cóż to bracie, rzekł gospodarz, nigdy mi o tém nie wspominałeś.

— Nie przyszło jakoś do tego! Za to teraz opowiem, bądź łaskaw, daj no mi ognia!...

Wszyscy przysunęli się bliżéj do opowiadającego, nawet Merville i Remine wstali z sofy i usiedli przy nim na krzesłach. Laroche rozpalił fajkę, zaciągnął się, wypuścił z pod siwych wąsów chmurę dymu i zaczął.

* * *

— Było to w czasie wojny. Chociaż nasz dowódca niczém się jeszcze wówczas nie od-

znaczył, lecz już mówiono o nim w całéj armji. Obozował on z swoim małym korpusem pod Dreznem. Pułk gwardji w którym ja miałem zaszczyt służyć w stopniu polowego adjutanta, należał do tego obserwacyjnego korpusu. Nasz pułkownik, był dobry, waleczny, towarzyski, prawie wszyscy sztabs — oficerowie codziennie u niego bywali na obiedzie, a gdy komu potrzeba było pieniędzy, to szedł prosto do niego, jak do rady opiekuńczéj. Lecz oto, co było najgorsze: nasz pułkownik miał żonę: jeszcze by to nie była tak wielka bieda, — lecz jego żona tak była znarowiona, że niech Bóg zachowa!

— Więc cóż? przerwał Merville: to źle dla męża, a oficerom co do tego.

— Co do tego? powtórzył Laroche, eh, panie, inne to były czasy. Teraz po pułkowniku pierwszą osobą w pułku jest major, a u nas bywało, kiedy pułkownik żonaty, to druga osoba w pułku pułkownikowa, a jeszcze jeżeli bitna, śmiała, to całym pułkiem zarządza. Już to, panie, teraz inny wiek, a wtenczas był inny! Już wam mówiłem, że nasz pułkownik był od-

ważny, nie bał się ani pałaszy, ani kul, a drżał przed swoją żoną. Była to kobieta poważna, przystojna, biała, rumiana...a jaka talja! a jaki głos! Ach, mój Boże! tego opisać trudno. Nie wiem czy dla tego że bardzo kochała swojego męża, czy też że była zazdrośna, nigdy go nie opuszczała, my w marsz, i ona w marsz. Gdy nasz pułk leżał obozem, ona mieszkała w Dreźnie, i chociaż się mogła często z mężem widywać, jednakże postanowiła zupełnie do niego się przenieść. Naszemu pułkownikowi nie bardzo to było na rękę, ale cóż miał robić! rad, nie rad, musiał pozwolić. Namiot przegrodzono, narobiono w niém pokoików, a w największéj przegrodzie, gdzie bywało wszyscy bawiliśmy się zwyczajnie, z naszym dowódzcą, urządzono pokój sypialny, i postawiono łóżko z różową atłasową kotarą. Nasz jenerał, nie bardzo lubił gdy damy mieszkały w obozie, gdyż to zawsze robiło nieporządek w służbie, lecz pułkownikowa pochodziła ze znakomitéj rodziny, i krewni jéj u dworu mieli wielkie znaczenie. Kto inny na jego miejscu, byłby się pochmurzył, zmarszczył, i na témby się skończyło, a on i

nie zmarszczył się, i wypędził pułkownikowę z obozu. I teraz bez śmiechu o tém wspomnieć nie mogę! Był on rozsądny, — daj mu panie królestwo niebieskie!

— Jak tylko stanęliśmy obozem, wydał roskaz całemu korpusowi, ażeby jak wypuszczą jedną sygnalną rakietę, wojsko przygotowało się do marszu? za drugą uszykowało się przed obozem, po trzeciéj, zwinęło namioty, a za czwartą w marsz. Nie lubił, żeby żołnierze jego drzémali, i dla tego dawał fałszywe sygnały to w dzień, to w nocy. Bywało puszczą rakietę,—tam drugą, jenerał objedzie cały obóz, pomówi z pułkownikami, pożartuje z oficerami i na tém się wszystko kończyło. Oto tak z tydzień, pogoda ciągle była bardzo piękna, jednego razu po gorącym dniu, w nocy koło godziny jedenastéj, całe niebo pokryło się chmurą, lunął gęsty deszcz, pioruny bić zaczęły, i taka nadeszła słota, że Bożego świata dojrzéć nie można było. Ja byłem w tenczas po rozkazy u pułkownika. Jego żona bała się piorunów, i żeby nie tak raziły ją błyskawice, położyła się w łóżko, i obwinęła w kołdrę—jednak nie spa:

ła. Jak tylko wyszedłem z namiotu chcąc iść do domu—patrzę!—oho!—sygnał dano. Wracam, donoszę pułkownikowi.—Jakto? krzyknęła pani, przez płócienną przegrodę usłyszawszy co mówiłem, czy zwarjował ten wasz jenerał, półgłówek, w taką burzę trwożyć cały obóz....— Uspokój się duszko, rzekł pułkownik, zapewnie to fałszywa trwoga, może i drugiego sygnału nie będzie. A przytém każ siodłać mego konia, dodał cicho obracając się do mnie, kto wie,—trzeba żeby ludzie byli gotowi. Pobiegłem wykonać jego roskaz, i oto, patrzę, po dziesięciu minutach wzniosła się druga rakieta. Ludzie w zupełnym uzbrojeniu wyszli przed obóz, zaczęli się szykować, upłynęło jeszcze pięć minut — trzecia, otóż masz!...Jenerał lubił żartować, ale nie ze służbą, wydał roskaz — więc idź w ogień i wodę. Wszystko zawrzało w obozie: w oka mgnieniu sznurki precz, kołki precz, i na całe linji żaden namiot nie został Wzbiła się czwarta rakieta, awangarda wyszła, za nią ruszył cały korpus. No, panowie, nie każdemu zdarzy się widzieć taki żarcik! Nim założono konie do powozu, nim wszystko przy-

gotowano, upłynęło z pół godziny, — a przez cały ten czas... Wypowiedzieć nie mogę!... co to było śmiechu!... Wystawcie sobie w nocy, w czystém polu, pod gołém niebem podwójne łóżko z różową atłasową kotarą, a deszcz... lał jak z cebra! Ale też, łagodniejszą się stała okrutna nasza Semiramida; przemokła jak gąbka grecka, odjechała napowrót do Drezna, a diwizja odszedłszy pół mili, znów stanęła obozem. W życiu mojém nigdy nie widziałem żeby się kto tak gniewał jak pułkownikowa, gdy jenerał na drugi dzień posłał adjutanta, żeby się dowiedział o jéj zdrowiu.

— To też musiał być młody człowiek ten jenerał, zawołał gospodarz.

— Zapewnie, rzekł Remine, lecz zdaje mi się mowa była o szatanie...

— Czy to nim była żona pułkownika? zapytał Merville.

— To wcale co innego! Ja mówię o nieczystym duchu.

— Pozwólcie, mówił daléj Laroche: dojdziemy i do niego. Po dwóch dniach, gdy już

pułkownikowa zupełnie obeschła, zaczęły się nowe zatargi. Znów mieszkać w obozie bała się, a w Dreźnie pozostać nie chciała.

Naradzano się, i w końcu postanowiono, wyszukać dla niéj gdzie w pobliskości jaki dwór, albo folwark. Wiadomo, że któż oto starać się powinien, jeżeli nie adjutant! Oto od samego rana wyjechałem szukać podobnego miejsca, które jednak nie tak łatwo było wynaleźć, nasza dowódczyni była kapryśna, chciała mieć i duży dom, i obszerny ogród, i żeby tam więcéj nikt nie mieszkał, i to, i owo. Cały dzień jeździłem po okolicach, zmęczyłem mojego konia — nawet koń pod żołnierzem który za mną jeździł, ledwie już nogi wlókł za sobą.

Na jednym folwarku jedliśmy śniadanie, na drugim obiad; a gdy chcieliśmy wracać do obozu, to już wieczór zapadał. Przed zupełnym zmrokiem ujechaliśmy blisko milę.

Zaczęło się robić coraz ciemniéj, zajaśniała błyskawica, i tak zaczęło nad nami się chmurzyć, że gdyśmy w las wjechali, o dwa kroki nic dojrzeć nie można było. Z początku jakkolwiek ciągnęliśmy naprzód, lecz wkrótce

droga się przerwała, zaczęliśmy się zaczepiać o krzaki, i konie ciągle najeżdżając na kłody i pieńki, ledwie nie padały pod nami...

— Oj źle panie! wybąknął żołnierz; jakoś zbłądziliśmy?

I mnie się tak zdaje Michale! rzekłem, podnosząc uzdą mojego konia, który już trzeci raz upadł na oba kolana.

—Oto i deszczyk pokrapia! rzekł Michał! żeby tylko Bóg pozwolił nam natrafić na jaką chatę przed burzą... Czekaj pan, zdaje mi się że tam na prawo, pies szczeka?

W istocie nie daleko od nas słychać było szczekanie; skierowaliśmy naszą podróż ku temu miejscu i w kilka minut wyjechaliśmy na szeroką drogę, osadzoną brzozami, w końcu której cóś się bieliło, i błyskało światełko.

— Zdaje się że to dwór jakiś, rzekł Michał. No, chwała Bogu! znaleźliśmy nocleg!

— Czekaj bracie, rzekłem: żebyśmy tylko drogo nie przypłacili za ten nocleg; wiesz przecie że nie jestemśmy w naszym kraju; Niemiec-

ey panowie nie chętnie nas przyjmują; dobrze do nich zajeżdżać na czele oddziału, lub spotykać się z niemi w dzień na szerokiéj drodze. ale w nocy i w takim zakątku...

— I cóż zrobiemy panie! przerwał Michał, Prawda że nas tylko dwóch,... lecz gdzież się udamy?...

— Czekaj Michale! rzekłem. Należy nam udać się do wybiegu. Ja powiem właścicielom, że przysłany jestem naprzód, żeby zająć ich folwark na kwaterę pułkową i że jutro o świcie przyjedzie tu pierwszy oddział naszego pułku.

— Zapewne, panie! przestraszymy ich kwaterunkiem, i gdy będą myśléć że tu umyślnie jesteśmy przysłani, i że jutro nadciągnie cały oddział grenadjerów, to już nikt nie ośmieli się jednego włoska zdjąć nam z głowy.

— Tak rozmawiając wjechaliśmy na wysoki wzgórek, na którym wśród obszernego dziedzieńca stał murowany dwór, na dwa piętra z okrągłemi basztami na rogach. W jednym oknie błyszczał ogień, lecz żywéj duszy nie było widać ani na dziedzieńcu, ani w domu;

wszędzie było cicho jak o północy, i tylko jeden pies na łańcuchu przywiązany szczekał. Drzwi były zamknięte; zbliżywszy się do domu, ja zsiadłem z konia i wszedłem do sieni: nie ma nikogo! Prosto przede mną były wschody prowadzące na górę. Wszedłem na nie, mój pałasz tak szczękał po kamiennych stopniach, że można mnie było o ćwierć mili usłyszeć. Wszedłszy na wschody, zatrzymałem się: wszędzie cicho.

Cóż u djabła! pomyślałem: czy w tym domu nie ma nikogo, prócz psa na łańcuchu? Prowadząc ręką po ścianie, znalazłem drzwi, popchnąłem, otworzyły się; wchodzę: znów nie ma nikogo! Zimno, wilgotno, wiatr wieje; w oknach ram nawet nie ma: otoż to! ta część domu zapewnie jeszcze nie wykończona, lecz gdzież jest to światło które z podwórza widziałem, zdaje mi się że na lewo. Wyszedłem znów ku wschodom, trzymając się kierunku ściany; znów drzwi: otworzyłem. No, trafiłem na koniec na mieszkalny pokój! W niewielkiéj izbie słabo oświeconéj lampką, dwóch służących grało w karty, a trzeci spał na ławce. W chwi-

li gdym wszedł do izby, usłyszałem szmer, jakby wielu ludzi z żywością między sobą rozmawiających. Lecz jak tylko jeden z grających służących ujrzawszy mnie wszedł do drugiego pokoju, zaraz wszystko ucichło.

— Jak się nazywa ta wioska? zapytałem służącego który został w przedpokoju.

— Ta wioska? rzekł patrząc we mnie tak uważnie, żem się mimowolnie zmieszał, i nie zaraz powtórzyłem moje zapytanie. Nazywa się Weissdorf, odpowiedział nakoniec, nie przestając patrzéć mi prosto w oczy.

— A jak się nazywa twój pan?..No, odpowiadajże bałwanie, gdy się pytam! rzekłem wznosząc głos, i zbliżająo się do niegc.

Sługa cofnął się, i spojrzawszy na swojego śpiącego towarzysza, wybąknął. — Mój pan nazywa się Jan Eichler...Hej, Kazimierzu!

— No, tak! rzekłem. Przecięż znaleźliśmy wasz folwark! Prowadź mnie do gospodarza.

— Zaczekaj pan, hej, Kazimierzu!

Trzeci służący, który spał na ławce, zerwał się, a widząc przed sobą oficera, krzyknął. — Co to jest!..Francuz!

— Zejdź na dół bracie, rzekłem, starając się okazać spokojnym: tam stoi dragon.

— Dragon? zawołał na w pół spiący lokaj. Czy jeden dragon?

— Dotąd jeden, lecz wkrótce będzie ich więcéj. Weź od niego konie, zaprowadź je do stajni, a jemu każ przyjść tutaj.

— Służący nie spieszył się z wypełnieniem mojego roskazu, spoglądał jak szalony to na mnie, to na swojego towarzysza, i nie ruszał się z miejsca.

— No, czegóż tak oczy wyłupiłeś, ospalcze, krzyknąłem roskazującym tonem. Czy nie słyszysz? Ruszaj! A pamiętaj żeby konie nie były głodne!

— Służący wybąknął cóś sobie pod nosem i wyszedł, a wtéj chwili lokaj który chodził anonsować, otworzył drzwi, i zaprosił mnie do sali. Przeszedłszy nie wielki pokój stołowy, wszedłem do pokoju dosyć porządnie umeblowanego, oświeconego dwiema woskowemi świecami. W jednym kącie stało przy ścianie kilka palaszy, i z pół tuzina czapeczek używa-

nych podówczas w Niemczech, leżało na stole i na oknach. Gospodarz, mający około lat pięćdziesięciu, z ogromnemi wąsami, przyjął mnie z całą powagą niemieckiego magnata. Rozparty na kanapie, zaledwie kiwnął mi głową i milcząc pokazał mi na taboret, który stał od niego o pięć kroków. Ach, do wszystkich djabłów! cała krew we mnie zawrzała: zapomniałem o tém zupełnie że moje położenie nie jest bezpieczne, pamiętałem tylko o tém, że mam zaszczyt nosić francuzki mundur i służyć w granadjerskim pułku, w stopniu pułkowego adjutanta. Nie odpowiadając na jego poniżające mnie powitanie, odepchnąłem nogą taboret, usiadłem obok niego na kanapie, a wyjąwszy z kieszeni kapciuch z tytoniem, zacząłem nie mówiąc ani słowa nakładać fajkę. Zdaje się, że moje nie zbyt ceremonjalne obejście się, zmieszało gospodarza; po niejakim czasie zapytał dosyć grzecznie z kąd jadę.

— Z obozu, odpowiedziałem, nakładając daléj fajkę.

— I zapewne pan...pan...

—Kapitan! przerwałem, rzucając dumny wzrok na gospodarza.

— Przepraszam!... zapewne pan kapitan zabłądził w tym lesie?

— Nie. Ja prosto tu jadę.

— Tu? powtórzył gospodarz z widoczną niespokojnością.

Tak jest, mówiłem daléj zapalając spokojnie fajkę: wszak ten folwark nazywa się Weiserdorf?

— Tak.

— A pan jesteś Eichler?

— Tak jest.

— Jestem tu przysłany w charakterze kwatermistrza; tu jest wyznaczona kwatera dla pułku grenadjerów.

— Kwatera dla pułku! rzekł zrywając się z kanapy.

— Tak. Jutro o świcie, a może i dziś w nocy przyjdzie tu pierwsza rota naszego pułku, panie Eichler, siadaj pan!..... Bardzo proszę!...

Tu spojrzałem na mojego gospodarza: wyciągnięty jak struna, stał przede mną, a na jego

twarzy takie odbywały się ewolucje, że ledwo się na głos nie rozśmiałem. Ogromne wąsy poruszały się, oczy biegały w różne strony, a włosy na głowie dęba stanęły.

—Zmiłuj się, panie kapitanie, rzekł nakoniec: gdzież ja podzieję całą rotę?

— Znajdzie się miejsce dla wszystkich.

— No, sam pan osądź...

— Eh, panie Eichler, przerwałem, odpasując pałasz: wojskowy o niczém sądzić nie powinien, robię co każą, nic więcéj.

— Jezus Marja! mówił daléj gospodarz. Pomieścić całą rotę!... Ale jakimże sposobem? ja sam z moją chorą żoną mieszkam tylko w trzech pokojach.

— Doprawdy? rzekłem. A dom zdaje się taki obszerny?

— Daję słowo honoru! Czyż to mało folwarków i lepszych, i obszerniejszych od mojego. I komu to do głowy przyjść mogło...

— Oto, przerwałem, panie Eichler, jak wypijemy po parę kieliszków wina, to ja powiem komu to przyszło do głowy zająć ten folwark.

— W téj chwili, panie, w téj chwili! Héj, chłopcze!

— Nie rób pan sobie ze mną przykrości, rzekłem zbliżając się do stołu, na którym stały dwie butelki wina, i kilka próżnych i nalanych kieliszków. Dla nas dosyć będzie i tego, zdrowie pana!

Gospodarz znowu się zmieszał, gdy wszedł służący, szepnął mu cóś do ucha, a obróciwszy się do mnie rzekł: — W istocie!... Byłbym zupełnie zapomniał, że kosztowałem niedawno to wino z moim ekonomem, które właśnie wczoraj kupiłem w Dreźnie. Jakże się ono panu wydaje?

— Doskonałe wino!.. Prawdziwy węgrzyn! No, panie Eichler, rzekłem wypiwszy jeszcze kieliszek: teraz ja panu powiem, komu przyszło do głowy zająć ten folwark. Pułkowa kwatera postoi u pana dzień, a najwięcéj dwa: Ale nasza pułkownikowa będzie tu dłużéj mieszkać, lecz jak długo, tego z pewnością powiedzieć nie mogę. Jéj w Dreźnie, tak wiele nagadano dobrego o tém folwarku, że chce koniecznie tu stanąć.

— Bardzo dziękuję za ten zaszczyt! rzekł gospodarz. Ale jabym chciał wiedzieć, kto tak chwalił waszéj pułkownikowéj Weisdorf? już to pewno ten mój nieprzyjaciel, pan Schwarc, pan Glied, pan Forst... Niech ich wszyscy djabli porwą!

A cóż, zdaje mi się że oni prawdę mówili?

— A bądźże łaskaw, zmiłuj się, panie kapitanie, zawołał zmienionym głosem gospodarz. Gdzież tu będzie mieszkać wasza pułkownikowa? na całém pierwszém piętrze wykończone tylko trzy pokoje, w których ja sam jakkolwiek się mieszczę. Wprawdzie na dole jest dosyć pomieszkania, ale ja nie wiem, czy pan nawet będziesz mógł w nich nocować.

— A dla czegóżby nie?

— Eh, panie dobrodzieju! to kara Boska, daję słowo prawda! Ja sam, jak tylko żonie mojéj zrobi się lepiéj, pojadę do Drezna, i już ten dom zapewnie nigdy nie będzie wykończony.

— No, a dla czego? zapytałem z mimowolną ciekawością.

— O, panie kapitanie!... jésteś wojskowym, to może mi nie uwierzysz.

— Więc cóż?

— Czy pan słyszałeś kiedy o Fauście?

— O Fauście? powtórzyłem, tylko co chciałem powiedzieć że nie, gdym sobie przypomniał narodową piosnkę, w któréj jest wzmianka i o niemieckim czarowniku Fauście. A! wiem, wiem! rzekłem — Tego Fosta czyli Fausta djabli porwali?

— Nie tylko porwali, przerwał gospodarz, lecz nawet przeciągnęli przez mur, na którym jak powiadają starzy, długo jeszcze potém widać było krwawe piętna.

— Dla psa, psia śmierć, rzekłem. Lecz cóż wspólnego między tym domem i przeklętym czarownikiem?

— A oto co; mój dom wybudowany w tém samém miejscu, gdzie niegdyś stał zamek Fausta.

— Doprawdy? zawołałem, mimowolnie oglądając się w około siebie.

— Daję słowo, mówił daléj gospodarz. A co najgorzéj, to jest, że całe dolne piętro mojego domu murowane z rozwalin starego zamku.

— Otóż to! szepnąłem przez zęby. Ale zapewne, przydałem, to już dawno było.

— Już dawno, panie kapitanie, ale pomimo tego on jeszcze nie mniéj jak dawniéj, tu nam przeszkadza. Co piątek około dwunastéj w nocy, na niższém piętrze taki łoskot powstaje że aż ściany trzeszczą.

— Co piątek?

— Tak jest. Mówią że w tym dniu djabli przeciągnęli Fausta przez ścianę, i uprowadzili z sobą pod ziemię. Ten łoskot trwa czasami przez całą noc: wszystkie okna są oświecone, zaczyna się okropny szelest,—potém robi się znowu ciemno,—a potém znowu rozlewa się po niższém piętrze taka jasność, że zewnątrz można widzieć co się wewnątrz dzieje.

— A cóż tam się robi? zapytałem, starając się okazać spokojnym.

— Raz tylko, odpowiedział gospodarz, mój dawny ekonom odważył się zajrzeć tam z dziedzieńca, lecz widać zobaczył takie dziwy, że mu się aż język poplątał—a gdy znów zaczął mówić, nic nie można było zrozumiéć z słów jego.

— Dla czegóż to?

— Dla tego, że był w malignie.

— A jak wyzdrowiał?

— Nie wyzdrowiał, i na trzeci dzień umarł.

— Otóż to! powtórzyłem znów przez zęby i cóś podobnego do febry przebiegło mi po plecach. Więc pan mówisz rzekłem, że to bywa tylko w piątki?

— Tak; panie dobrodzieju! A przecież dziś jest piątek.

— W istocie!..a na pierwszém piętrze, nie masz pan żadnego zbywającego pokoju?

— Daję słowo nie mam! prócz sypialnego pokoju mojéj żony, téj sali w któréj sypiają rezydentki, i stołowego, gdzie ja sypiam nie ma ani jednego pokoju, w którymby można było nocować. Lecz jeżeli, przydał z szyderskim uśmiechem, pan kapitan boi się...

— Jeżeli ja boję się?..boję się!..

I to mówi pan niemiecki, francuzkiemu oficerowi!..Oh, panie! jakby mnie ukropem polał!.. Mnie, oficerowi grenardjerskiego pułku, bać się czarownika! A gdyby to jeszcze francuzkiego!.. Ach, niech djabli porwą! choćby sam szatan

w postaci niemca zjawił się przedemną, i wtenczas prędzéjbym umarł, niż na cal przed nim się cofnął.

— Przebacz, panie Eichler, rzekłem wstając, nieboję się ani Fausta, ani djabła, ani żywych, ani umarłych, i będę dziś nocował... tu na dole.

— Jak się podoba! Przynajmniéj ja uprzedziłem panią, i jeżeliby się co stało...

— Nie bój się pan, ja, i mój człowiek mamy po pałaszu i po parze pistoletów, więc żywych duchów nie bojemy się, a z piekielną potęgą, nie trudno sobie dać radę. Każ mi pan pokazać mój pokój.

— W téj chwili, panie! Lecz czy nie zechcesz pan co przejeść?

— Dziękuję! Nie jadam wieczerzy, lecz jeżeli pan pozwolisz, wezmę z sobą tę butelkę węgrzyna, i wypiję ją, za duszę Fausta. Tylko nie radziłbym mu przerywać mi snu, my Francuzi, nieproszonych gości nie lubiemy.

Gospodarz odprowadził mnie do przedpokoju, w którym zpodziwieniem znalazłem Michała już zaprzyjaźnionego z ludźmi Eichlera, on po

przyjacielsku ciągnął z niemi gorzałkę; sądząc z dwóch półkwaterków, z których jeden już był próżny, a w drugim tylko na dnie cokolwiek wódki zostało, można było poznać, że oni porządnie uczęstowali Michała, tém więcéj ugruntowałem się w tém przekonaniu, gdy on zerwawszy się z ławki, zaczął się chwytać ściany, żeby nie upaść na ziemię. No, nie najlepszego mieć będę z niego towarzysza! pomyślałem. Lecz cóż robić! Jeden służący poszedł naprzód ze świecą, a dwóch sprowadziło ze wschodów Michała, który w mojéj obecności, ciągle całował się z niemi, dziękując im za przyjaźń i ucztę.

Gdy zeszliśmy ze wschodów, służący który szedł naprzód, otworzył ogromnym kluczem grube drzwi i weszliśmy do wielkiego pokoju z sklepieniem. Niechcący dostrzegłem, że przewodnicy moi lękliwie oglądali się na wszystkie strony, i z widoczną niespokojnością przysłuchiwali się szelestowi własnych kroków; który się rozlegał pod sklepieniami obszernych izb, pustych i ciemnych jak podkościelne sklepy, nie-

dostawało tylko grobów żeby podobieństwo w rzeczywistość się zamieniło.

Weszliśmy nakoniec do narożnéj izby, która więcéj niż inne podobną była do mieszkalnego pokoju. Mnóstwo familijnych portretów na ścianach, dwa tuziny krzeseł, kanapa obita czarną skórą, łóżko z jedwabną kołdrą, wielki ścienny zegar i stół dębowy na którym służący postawił świecę, a ja butelkę węgierskiego wina,—stanowiło całe umeblowanie mojego sypialnego pokoju. Służący, życząc mi spokojnéj nocy wyszli.

— Czy tobie nie wstyd, Michale? rzekłem do żołnierza, który oparłszy się o ścianę, starał się jak mógł prosto stać przede mną. Trzeba było wypić kieliszek, drugi,—ale opić się do tego stopnia!

—Ja panie nie jestem pijany, wybąknął, jeżeli pan każesz po jednéj desce przejdę.

— Milcz, pijaku!

— Dobrze, panie!

— Gdzie są moje pistolety?

— W olstrach panie!

— I tyś je tam w stajni zostawił?

— To nic panie! Tu jest naród szlachetny nic nam złego nie zrobią.

— Dawaj mi swoje!

— Michał wyjął z za pasa swoje pistolety i podając mi rzekł. Niech się pan z niemi ostrożnie obchodzi, bo są nabite kulami, o, doskonałe pistolety! Jak tutejsi ludzie im się dziwili! jak oglądali je!

— Dobrze! idź, połóż się tam, na téj kanapie! A staraj się dobrze wyspać, pijaku!

Michał trzymając się ściany doszedł do kanapy, położył się i w téjże chwili zaczął chrapać; ja wziąłem świecę, i przed wszystkiém obejrzałem drzwi mojego pokoju, one zamykały się zéwnątrz, a wewnątrz nie było ani zamku ani zasuwy. Okoliczność ta nie bardzo mi się podobała, lecz cóż było robić. Przymknąłem jak można najszczelniéj drzwi, spojrzałem przechodząc na szczerniałe od starości portrety, któremi zawieszone były wszystkie ściany. W życiu mojém niewidziałem więcéj takiego doboru zwierzęcych odrażających twarzy. Najeżone włosy, obwisłe podbródki, nachmurzone brwi, wąsy jak u sybiryjskich kotów — słowem co portret to

twarz jedna od drugiéj brzydsza! Ah! to kollekcja piękności! pomyślałem że jeżeli strachy, które pozwalają tu sobie igrać, nie są przyjemniejsze od nich, to przyznam się!.. Najbardziéj zraził mnie, portret jakiegoś straszydła z złotym łańcuchem na szyi, w czarném ubraniu i w czworograniastéj czapce. Jego suche i blade lica, na dół szczesane wąsy, i wyglądające z pod obwisłych brwi, krzywe oczy, tak były brzydkie, że w życiu mojém nic podobnego nie widziałem, u dołu na złoconéj ramie było napisane imie Fausta. A! więc to on! zawołałem mimowolnie. To on, przychodzi z tamtego świata ludzi przestraszać! Ah! ty, piekielna lalko! — dodałem, plunąwszy na portret. Nie bój się, mnie nie przestraszysz, ty przeklęty heretyku!

Nie wiem dla czego, lecz nie czułem w sobie żadnéj obawy; zdawało mi się, że w Niemczech i djabli powinni się bać francuzkiego oficera; a przytém chociaż opowiadanie gospodarza sprawiło na mnie pewne wrażenie, lecz wiedziałem że Niemcy lubią przy zdarzonéj sposobności puścić bajeczkę, i z muchy słonia zrobić.

Prócz tego myślałem, biorąc za butelkę wina jeżeli w istocie nieczysta siła wojuje w tym domu, więc cóż? Poszumi, pochałasuje i na tém się skończy. Łatwo jest djabłu żartować sobie z heretyków, a przecież ja jestem chrześcianinem! Tak rozmyślając, zdjąłem mundur, położyłem przy sobie pałasz i pistolety, zmówiłem modlitwę, przeżegnałem się, łyknąłem jeszcze tokaju i położyłem się spać. Światło od woskowéj świecy któréj nie zgasiłem, padało prosto na przeciwną ścianę, i chociaż słabo, oświecało jednak dosyć wyraźnie, kilka portretów. Bez względu na to żem się wcale nie obawiał, oczekiwanie czegoś nadzwyczajnego nie dawało mi zamknąć oczów; czasem mi się zdawało, że te wszystkie portrety ożywiają się; że jeden mruga oczami, drugi rusza ustami, u trzeciego wąs się poruszył, inny znów nachyla głowę, i chociaż rozumiałem iż to ztąd pochodzi, że mi się oczy mroczyć zaczęły, jednakże zasnąć nie mogłem. Na dworze ryczała burza, wył wicher, deszcz lał się jak z cebra; lecz przy mnie i w pokojach wszędzie było spokojnie. Czy tylko ze mnie nie zażartował

gospodarz? pomyślałem, ci Niemcy lubią się czasem zabawić. Niech teraz myśli, że przez całą noc nie będzie spał przeklęty Francuz, moje wino węgierskie nie wyjdzie mu na dobre. O nie — nie! Kłamiesz panie Eichler! zasnę! — Okrywszy się kołdrą zacząłem myśléć: o mojéj Anetce, o domku z zielonemi żaluzjami, który miał wkrótce wraz z swoją panią do mnie należeć, i oto pomału drzemiąc, ani wiem kiedy zasnąłem. Właśnie gdy mi się śniło, że z moją narzeczoną przechadzałem się po ogrodzie, cóś mnie uderzyło w bok: obudziłem się. Co to takiego? Zdaje mi się że w sąsiednim pokoju światło. Odkryłem kołdrę, patrzę, rzeczywiście!... Nie długo myśląc wstałem z pościeli, wziąłem w rękę pistolet, i zbliżywszy się na palcach do drzwi, uchyliłem jedną połowę; to jeszcze by nie było nic tak strasznego! — wśrodku pokoju stał duży stół, na stole ogromny półmisek, czémś białém nakryty, a w około trzynaście krzeseł. Zobaczemy, pomyślałem, kto też tu będzie wieczerzał. — Nie upłynęło pięciu minut, gdy w odległości parę stai, dał się słyszéć jakiś żałobny śpiew; potém

coraz bliżéj; oho! to słyszę śpiewają pogrzebowe rekwiem? śpiew zupełnie pogrzebowy, tylko słów nie słychać. Oto! wszystko umilkło, i oto znów — ale już bardzo blisko — jak ryknął!... Trochę się panie zmięszałem! Znów śpiewają jak za pogrzebem, i nucą skoczne piosnki, — a co za nieporządek! — szum, krzyk, wtém drzwi od pokoju w którym stał nakryty stał, jakby skutkiem silnego wiatru otworzyły się na oścież, i weszli w nie.... wszyscy w czarnych całunach, białych kołpakach, z przykryciami na twarzy. Słowem zupełnie podobni do wisielców! Wchodzili parami, a za wszystkiemi, dwie pary takich samych straszydeł, niosło umarłego na marach, i jak tylko ci ostatni przeszli przez próg, znowu wszyscy zawyli, umarły podniosł się, zrzucił z siebie białą osłonę,— Patrzę! — zupełnie ten sam co na portrecie, w czarnym ubiorze, na szyi złoty łańcuch, twarz blada, wąsy na dwie ćwierci. Ach!... tak jest!... To czarownik!... Faust... Grzechem byłoby taić, serce we mnie zadrżało. Cała ta tłuszcza rozgościła się w pokoju; jedni stanęli rzędem koło

ściany, inni usiedli za stołem, Faust usiadł na pierwszém miejscu: naprzeciw niego, jedno tylko krzesło zostało próżne, —patrzę, czarownik wzywa mnie palcem. — Cóż robić? pomyślałem, iść źle, nie iść wstyd: jeszcze ci niemieccy djabli gotowi pomyśléć że ja ich się boję. Niech się stanie co chce; śmiałym Bóg dopomaga: pójdę!

Nie wypuszczając z ręki pistoletu zbliżyłem się do stołu: Czarownik pokazał mi w milczeniu próżne krzesło; cóż to? widać że i mnie wliczono do uczty? Dobrze, dobrze, zobaczemy co to z tego będzie. Usiadłem. Chociaż czasami przechodziło mi zimno po skórze, lecz ja jednak mimo to nie traciłem ducha, dla tego że wszystkie te straszydła tak spokojnie siedziały, że muchę przelatującą można było usłyszéć, a nawet sam czarownik, wytrzeszczywszy swoje ołowiane oczy, siedział nieruchomy jak posąg. Upłynęło dziesięć minut; wszystko cicho; djabli milczą, czarownik na mnie oczy wytrzeszcza, a ja patrzę na całą szlachetną kompanię, i czekam, na czém się to wszystko skończy. W tém ścienny zegar w moim pokoju

mierzył, z trzaskiem zaszumiały koła, i dzwonek odezwał się. Raz, dwa, trzy... Oho! północ! czarownik poruszył wąsami i kiwnął głową jeden z jego współbiesiadników wstał, wyciągnął długą kościaną rękę, skurczył swoje haczykowate palce, i schwyciwszy w samym środku serwetę, którą był przykryty półmisek, podniósł ją do góry... O panie!... i teraz jeszcze nie mogę bez wzdrygnieuia wspomnieć. Patrzę: na półmisku leży ludzka głowa i to jeszcze jaka!... Ach mój Boże!... Rozdęte szczęki, nos jak dwie moje pięści, usta aż do uszów oczy jak łyżki... aż serce we mnie jękło. Co za potrawę przygotowali!... Jeść! zawołał okropnym głosem czarownik. Jeść! powtórzyła chórem cała gromada. Oj! źle z nami!.. Chcę wstać, nogi uginają się pode mną. Chcę się modlić, językiem poruszyć nie mogę, a djabli i czarownik palą mnie oczami! Nakoniec jakoś przemówiłem. Precz odemnie! precz! I cóż? Głowa się poruszyła, zaczęła mi pokazywać język, i wyszczerzyła zęby. Ach! nie pamiętam jakim sposobem przyszło mi do głowy, — od

strachu, czy co, — podniosłem rękę z pistoletem, wymierzyłem w djabelską potrawę, pociągnąłem cyngiel — strzeliłem! — Djabli się rozśmieli, głowa otworzyła ogromną paszczękę i jakby z pod beczki zawyła basem wesołą piosnkę; oczy mi się zmroczyły, wszystko się w około kręciło, w uszach zaczęło mi dzwonić, stół się poruszył, djabli zakręcili się jak fryga a ja bez przytomności upadłem na podłogę.

Nie wiem czy długo w tym stanie leżałem, lecz gdy się ocuciłem, jeszcze zupełnie było ciemno. Na dworze szumiała niepogoda, lecz w pokojach już wszystko ucichło. Stołu nie było, świec także: tylko w sypialnym pokoju jeszcze błyszczał dogorywający ogarek. Nie prędko przyszedłem do zupełnéj przytomności, lecz za to, skoro tylko przypomniałem sobie co się ze mną stało, nie wiem zkąd mi się wzięła odwaga. W jednéj chwili ubrałem się, rozbudziłem Michała, zaciągnąłem go za sobą do stajni, zbudziłem stajennych, i w pół godziny znowu przez las jechałem, o świcie dostaliśmy się do obozu. Gdy stanąłem przed pułkownikiem byłem tak blady, że natychmiast posłano p

pułkowego lekarza, który przybywszy pomacał mój puls, oświadczył że mam mocną gorączkę, i przepisał lekarstwo, lecz ja go nie przyjąłem, przespałem całe dwie doby, i po dwuch dniach pojechałem znowu szukać mieszkania dla naszéj pułkownikowéj.

— A od tego czasu, czy się pan nie spotkałeś kiedy z Eichlerem? zapytał Merville.

— Nie, słyszałem tylko, że u niego w wiosce, przed samym końcem wojny, schwytano cały oddział osób podejrzanych, które wraz z gospodarzem oddano pod sąd wojenny, a folwark spalono i zniszczono do szczętu.

— I cóż pan myślisz? przerwał z uśmiechem Remine, zapewne w liczbie tych osób, byli także djabli, a może i sam czarownik Faust wpadł w ręce naszych żołnierzy.

— Co tego to już nie wiem! odpowiedział spokojnie Laroche, nakładając fajkę.

— To jest, przydał gospodarz, chcesz powiedzieć że tę nocną komedję, z naszym przyjacielem, odegrał pan Eichler i jego goście, dla

tego tylko, ażeby się uwolnić od kwaterunku, nie prawdaż?

— Cóż znowu? przerwał Remine. To mi nawet przez myśl nie przeszło!

Już powiedziałem wam, że ja wszystkiemu na świecie wierzę. Gdyby to Niemcy byli zrobili, to głowa nie zaśpiewałaby basem, gdy w nią Laroche strzelił. Wprawdzie nie trudno było służącym, oglądając pistolety wykręcić z nich kule, zwłaszcza że ich właściciel był pijany; lecz wszakże domysły nie stanowią dowodów. I dla tego najpewniéj, że tu działała moc szatańska.

— Ty żartujesz sobie, przerwał Merville, a ja wam powiem panowie, bez żadnych ogródek, że ciebie szanowny Laroche oszukali Niemcy: oni musieli użyć takiego podstępu, ażeby się uwolnić od kwaterunku. Ażeby wystawić głowę przez stół przedziurawiony, i podobnyż półmisek, oraz wykręcić kule z pistoletów pijanego żołnierza, do tego nie wiele potrzeba zabiegów.

Wiesz co, ja gdybym był w podobnym przypadku, sam zażartowałbym z nich. — Powinie-

neś był tylko być przytomnym; trzeba było pokazać że chcesz jeść potrawę, którą cię częstowano, a gdybyś był jedną ręką wziął za nos, a drugą chwycił nóż, tak zaręczam, że ona nie zaśpiewałaby basem piosnki wesołéj, a raczéj, potańcowałaby na swojém półmisku. Tak to jeszcze dotąd oszukują uczciwych ludzi, jeżeli się uda. Oto i ja miałem raz przypadek, któryby kogo innego zmysłów pozbawił...

— I tyś miał, przerwał z ciekawością gospodarz, a to kiedy?

— Już siedm lat temu, gdym jeszcze służył u dragonów i byłem z moim pułkiem we Włoszech. Jeżeli panowie zechcecie, opowiem wam go. Słuchajcie!

* * *

Wczasie ostatniéj wojny, gdy otrzymałem kontuzję, zawieziono mnie do Turynu, gdzie

więcéj niż przez dwa tygodnie nie wstawałem z łóżka. Nie źle mowię po włosku, więc mogłem rozmawiać z gospodarzami domu w którym mieszkałem, lecz pomimo to, umierałem z tęsknoty. Gdy tyle byłem zdrowszy że mogłem się przechadzać po pokoju, poradzono mi kończyć kurację na świeżém powietrzu za miastem. Było to przy końcu Września. Zaczęły się nieznośne upały; i sam uczułem że świeże wiejskie powietrze, koniecznie jest potrzebne do powrotu mojego zdrowia. Austryjacki komendant wyznaczył mi prześliczną kwaterę o dobrą milę za miastem, we wsi Signora Leonardo Frazelini, bogatego kupca z Turynu. Posłałem tam naprzód mojego człowieka z biletem kwaterunkowym, a sam na drugi dzień bardzo rano wyjechałem w najętéj karecie, a zatrzymawszy się chwilę dla obejrzenia wspaniałego placu Swiętego Karola, pojechałem daléj przez przedmieście Borgo di Po.

Nigdy nie byłem w południowych częściach Włoch, lecz jeżeli tam jest powietrze i klimat lepszy niż w Piemoucie, to można je nazwać rajem europejskim! Nawet malarz nie oddałby

dokładnie téj świeżéj zieloności pól, usypanych wonnemi kwiatami, tych ciemno-lazurowych i zarazem przejrzystych obłoków, i dla tego próżnobym wam chciał dać o tém pojęcie. Nie uwierzycie panowie z jakiém uczuciem patrzyłem na to niezachmurzone najmniejszą plamką niebo południowe, i na kwieciste okolice miasta, osadzone kępami drzew. Od dzieciństwa przywykły do naszego umiarkowanego klimatu, nie posiadałem się z radości, gdy wyjechawszy za miasto, zacząłem oddychać tém ożywiającém wiejskiém powietrzem przesyconém aromatami kwiatów. Zaledwie odjechałem ćwierć mili za rogatki, gdy uczułem w sobie taką zmianę, żem gotów był w téjże chwili wsiąść na konia, i pędzić do boju. Tak mi było lekko, tak wesoło. Minąwszy zamek nazywany powszechnie królewską winnicą, wysiadłem z karety i poszedłem piechoto. Mój wzrok obiegał swobodnie wzgórzyste brzegi rzeki Po, i obszerną równinę zakończoną na północ wysokiemi Piemonckiemi górami. Po prawéj stronie na kapucyńskiéj górze wznosił się gotycki kościół zakonników; jeszcze wyżéj przez ciemną zielo-

ność oliwnych drzew, przebijały się białe zębate mury kamedulskiej pustyni, a prosto przedemną, w oddaleniu przerzynając błękit sklepienia niebios, pływała wśród obłoków, ogromna wieża Supergi, téj znakomitéj rywalki kolosalnego kościoła Piotra i Pawła w Rzymie. Za każdym naprzód krokiem, horyzont się rozjaśniał, a ja oczarowany malowniczemi widokami, które bez przerwy jedne po drugich następowały, nie dostrzegłem nawet, że już trzy ćwierci mili idę przed karetą, która powoli toczyła się za mną po szerokiéj drodze.

Panie oficerze! panie oficerze! wołał za mną woźnica. Obejrzałem się, kareta stała przy samym wjeździe w ciasną aleję piramidalnych topol; ktora o dwieście kroków łączyła się z gęstym laskiem kasztanów. Zwróciłem się, a idąc daléj piechotą przed karetą, w kilka minut doszedłem do lasku, a potém znowu wyszedłem na otwarte pole, którego wiejska, spokojna powierzchowność tak mi się podobała, żem się cokolwiek musiał zatrzymać, dla nasycenia się jéj widokiem. Wystawcie sobie szeroką dolinę wśród któréj wije się kręta rzeczka, okrążając w swoim upływie kilka wzniosłych pagórków porosłych

gęstemi krzakami, wlewa się ona do czystego jeziora otoczonego wysokiemi wybrzeżami, które bez przesady można nazwać perskim kobiercem, tak są symetrycznie napełnione świeżemi różnéj barwy kwiatami! Prosto naprzeciw kasztanowego lasku z którego wyszedłem, na samym brzegu jeziora, przeglądał przez pomarańczowe drzewa i gęste krzewy wonnéj akacji, jedno-piętrowy dom, pokryty płaskim dachem, ozdobiony portykiem; giętkie winogrady pięły się w około kolumn, utrzymujących marmurową fasadę, a na wszystkich oknach stały fajansowe wazony z kwiatami. Za domem, przez całą szerokość podwórza ciągnęło się długie skrzydło z szerokiemi włoskiemi oknami. Front skrzydła wychodził na dziedzieniec, druga strona na ogród, który z trzech stron otaczał dom i należące do niego budynki. Od kasztanowego gaiku ciągnęła się łąka, po któréj wiła się rzeczka wpadająca w jezioro. Pięć, czy sześć włościańskich chat, nowy młyn przy rzece, kilka krów i rzeźwych kóz rozsypanych po łące,

młodziutka dziewczyna która naczerpnąwszy wody, właśnie ją niosła w glinianém naczyniu na swojéj głowie, ożywiało ten wiejski, pełny przepychu obraz. To jest urzeczywistniona sielanka! zawołałem mimowolnie, obejrzawszy się w około! Szkoda tylko że tu nie ma jeszcze pasterza i pasterki. Ach! otóż i oni, — mówiłem daléj, spostrzegłszy pod krzakiem młodzieńca siedzącego na trawie obok szesnastoletniéj dziewczyny. Oboje byli ubrani po wiejsku, lecz nie tak jak zwyczajni wieśniacy, i gdyby słomiany kapelusz w którym była dziewczyna, dostał się do Paryża, to pewnieby nie długo poleżał w magazynie strojów. Młodzieniec był dość przystojny, lecz jego towarzyszka... O, taką przyjemną, regularną twarz, takie czarne ogniste oczy, tylko we Włoszech spotykać można!

— Pozwólcie że was zapytam. Rzekłem zbliżywszy się do nich, czy to ta wioska należy do pana Fraželini.

— Dziewczyna się przelękła, zaczęła uciekać i pierwéj nim zdołałem dokończyć pytanie nawet śladu po sobie nie zostawiła. Młody

człowiek także się zmięszał lecz odpowiedział bardzo grzecznie. W istocie panie oficerze, ta wieś należy do pana Leonardo Frazelini, jeżeli pan sobie życzysz, zaprowadzę pana do niego.

Poszedłem za nim ponad brzegiem rzeki, kareta pojechała drogą, która szła prosto przez łąkę. Gdy prześliśmy piękny Chiński mostek zapytałem młodzieńca czy nie jest synem właściciela.

— Przepraszam, panie oficerze! odpowiedział, jestem Korneljo Aniceti, nie synem, lecz tylko krewnym Frazeliniego.

—A ta młoda piękność z którą pan siedziałeś pod krzakiem zapewnie jest siostra pana?

— Sciągła twarz Korneljusza zarumieniła się.

— Nie! — odpowiedział ucinkowo. To pokojówka mojéj ciotki.

— Czy tak? Ona jest tak pięknie ubrana, że myślałem... A jak się nazywa ta ładna dziewczyna?

— Celestyna.

— Ona jest bardzo przyjemna.

— Korneljusz spojrzał na mnie ukradkiem, i przyznam się, że z miłości własnéj, z przyjemnością dostrzegłem, iż to spojrzenie nie bardzo go zaspokoiło. Tak! odpowiedział nakoniec: to prawda, Celestyna przyjemna, lecz zarazem jest bardzo dzika, i prócz tego, — przebacz panie oficer, — cierpieć nie może zagranicznych. Lecz oto i wuj idzie naprzeciw nas! dodał, wskazując na człowieka w podeszłym wieku, z przyjemną i wrażającą szacunek twarzą.

Gospodarz przyjął i powitał mnie, jak krewnego, a jego żona, pani Aurelja, długo nie mogła wyjść z podziwienia, słysząc jak czysto mówię po Włosku. Przez resztę dnia nie widziałem nikogo prócz moich gospodarzy, ich siostrzeńca, przebiegłego sługi nazwiskiem Ubaldo, i staruszki, którą nazywano Petronelą. Pod wieczór, gdy siedzieliśmy w pokoju, którego okna wychodziły na dziedzieniec, spotrzegłem Celestynę. Siedziała bardzo spokojnie przy jednym narożniku na ławce; i tak była zajęta jakąś robotą, że nawet nie mogłem przyjrzéć się jéj twarzy; ani jéj czar-

nym oczom, których ani nie podniosła z roboty. Rozmawiając ze mną, pani Aurelja powiedziała mi pomiędzy innemi, że nie wie, czy mi się podoba przygotowany dla mnie pokój. Panu potrzeba spokojności, mówiła, a pokój pana jest zaraz obok naszéj sypialni, my wstajemy bardzo rano, i budzić pana możemy.

— O, co do mnie, odpowiedziałem, to obawiam się tylko, żebym nie stał się dla państwa natrętnym. Czy w tém skrzydle z włoskiemi oknami nie ma żadnego próżnego pokoju.

— Wszystkie w niém są niezajęte, rzekł gospodarz, wybudowałem je umyślnie dla gości, lecz teraz...

Tu pan Frazelini zatrzymał się, i spojrzawszy ze znaczeniem na żonę, zamilkł?..

— Lecz teraz? powtórzyłem, co takiego?..

— Nikt w niém nie mieszka.

— A dla czego?

— Nie wiem jak to mam panu powiedzieć? Bo to wy, panowie wojskowi, w nic wierzyć nie chcecie! W tém skrzydle zamieszkały, nieczyste duchy.

Rozśmiałem się.

— Śmiéj się, panie oficer, śmiéj się, a to jest taka prawda, jak to, że mam zaszczyt o tém z panem mówić. Przed dwoma miesiącami dostrzegliśmy, że w tém skrzydle bywa po nocach szelest, i wychodzą ztamtąd żałobne jęki. To niczémby jeszcze było, lecz codzień około północy, czasem wcześniéj, czasem późniéj, po całém skrzydle chodzi wysoki biały cień, z latarnią w ręku. Sam kilka razy widziałem, oto z tego pokoju, jak przechadzał się w obie strony około okien.

— I ani razu panu nie przyszło do głowy, że to jest żarcik, jakiegoś szaleńca?

— Z początku myślałem tak, lecz tu jest jedna okoliczność, która zniszczyła wszystkie moje domysły, Trzeba wiedzieć że pokoje w tém skrzydle, są zupełnie tak urządzone, jak cele w klasztorach. Przez całą długość ciągnie się korytarz, z którego dziesięć drzwi, prowadzi do tyluż pokoi, przedzielonych pomiędzy sobą fundamentalnemi murami, a chcąc przejść z jednego pokoju do drugiego, trzeba koniecznie przejść korytarz. Możesz się pan jutro sam o tém

przekonać. Teraz proszę wytłómaczyć jakim sposobem zwyczajny człowiek, a nie przywidzenie, mara, lub duch, może się przechadzać po całéj długości skrzydła, około okien, i nie zatrzymując się iść równym krokiem, słowem przechodzić się tam i napowrót jak po długiéj galerji, w któréj nie ma żadnych przegród? Zdaje się że tu nie ma się nad czém namyślać, albo pomiędzy pokojami, jest prosta kommuuikacja, albo dla niego nie są przeszkodą żadne zapory, i on przechodzi przez główne mury, jak my przez otwarte drzwi. Żadnego związku ani drzwi pomiędzy pokojami nie ma, jeszcze raz powtarzam, że pan sam będziesz się mógł o tém jutro przekonać,— a zatém ten gość nocny nie jest żadnym żartownisiem, lecz prosto albo nieczystym duchem, albo upiorem albo co najpobniéjsze do prawdy jakąś chrześciańską duszą, która albo tym sposobem odbiera karę czyszcową, lub też potrzebuje naszych modlitw. U nas wszyscy są pewni że to jest dusza biednego Paolo, dawnego ogrodnika, który przeszłéj zimy powiesił się w téj oficynie. Z początku

bardzo nas to zatrważało, lecz teraz już przywykliśmy, przy tém do tego czasu, jeden tylko mój siostrzeniec odważył się raz przenocować w oficynie. Lecz mu to nie uszło na sucho. Mara tak jak zawsze przechadzała się po pokojach, a on tak się jéj przestraszył, że całą noc leżał bez przytomności.

W ciągu tego opowiadania zwróciły moją uwagę dwie rzeczy, naprzód to, że siostrzeniec się zarumienił gdy aż do niego doszło opowiadanie, powtóre, że chociaż pan Frazolini i pani Aurelja utwierdzeni byli w tém przekonaniu, że ich oficynę zamieszkali goście nie z tego świata, jednakże w tymże pokoju były jeszcze oprócz mnie dwie osoby, które nie wielką wiarę do tego zdawały się przywiązywać. Siedziałem naprzeciwko wielkiego zwierciadła, w niém odbijało się wszystko co było za mojemi plecami, to jest i cała przeciwna ściana, i drzwi przy których siedział służący Ubaldo i kącik w którym siedziała piękna Celestyna. Parę razy widziałem że ich spojrzenia spotykały się z sobą, i że następstwem

tego spotkania, był zawsze znaczący uśmiech, który nie trudno było zrozumiéć. No, pomyślałem, założę się że ta figlarka Celestyna wie lepiéj niż jéj państwo, jak mary przechodzą przez główne mury. Pomówiwszy jeszcze cokolwiek o tych nadzwyczajnych odwiedzinach, pożegnałem się z gospodarzami, i odszedłem do mojego pokoju. Czy to z powodu zmiany mojego zwyczajnego pomieszkania, czy z innéj jakiéj przyczyny, wcale zasnąć nie mogłem. Z mojego pokoju można było widzieć całą oficynę. Oto, wkrótce po północy, w jednym oknie zabłysło światło, zerwałem się z łóżka, i ujrzałem na własne oczy, że jakiś duch w bieli z latarnią w ręku, przechodził trzy razy wzdłuż całéj oficyny, koło samych okien i nie zatrzymywał się ani na chwilę. Nie wątpiłem że to jest złudzenie; że przyczyny tego były ze wszystkiém ziemskie, i o tém byłem przekonany; lecz zkąd pochodziło, i na czém zasadzało się to optyczne złudzenie, — tego żadną miarą pojąć nie mogłem! Myślałém, myśla-

łem, i jeżeli mara mnie nie przestraszyła, to jednak przynamniéj była przyczyną tego, iż całą noc myśląc strawiłem bezsennie. Nie widząc dla siebie żadnéj korzyści z tego żeby się z boku na bok przewracać w łóżku, wstałem o pierwszym świcie, ubrałem się i poszedłem na przechadzkę do ogrodu. Poranna zorza tylko co weszła na horyzont, wszyscy jeszcze w całym domu spali, oprócz waszego uniżonego sługi, to jest mnie, i jakiéjś rannéj ptaszyny, która przemknęła się w chwili gdy zacząłem się zbliżać do okien wychodzących na ogród. Aha! pomyślałem, otóż to! Gdyby tych pokoi nie zamieszkały nieczyste duchy, to zajęliby je ludzie: rozumiem!... No, panie Korneljuszu, porządnie oszukujesz swojego wuja!

Cały ten dzień przeszedł dla mnie tak jak poprzedzający; myślałem o mojém porannéin spotkaniu, o białéj marze, i nakoniec o tém, jakby tu trafić na prawdziwą drogę. Pozostawało mi jeszcze przekonać się, czy sprawiedliwe są moje domysły, i zarazem nie robiąc nikomu nieprzyjemności, uwolnić jeżeli można mojego przyjacielskiego gospodarza, od

tych nocnych nawidzin. Po wieczerzy zamknąłem się w moim pokoju, a przed północą, obwinąwszy się od głowy do nóg w białe prześcieradło, wkradłem się do ogrodu, i zbliżyłem się do oficyny. Przedstawienie już się zaczęło: chociaż nie szedłem z téj strony, w któréj było widzialne, lecz poznałem to po tém, że drzwi były otwarte, i na wpół spiący stróż zaczął się głośno modlić. Pocichu wszedłem na wschody, i ukryłem się w ciemnym końcu korytarza; w minutę wszystkie moje domysły sprawdziły się. Czekajcież szanowni artyści! rzekłem do siebie, muszę was tak przestraszyć, żeby wam nawet przez myśl nie przeszło drugi raz zagrać podobną komedję. Na korytarzu stał stół. Wlazłęm na niego, opuściłem aż do podłogi prześcieradło, i westchnąłem tak okropnie, że się ledwie sam nie przeląkłem. W tém, z dwóch pokoi wyskoczyły dwa białe duchy... Widzą że trzeci takiż sam jak i oni duch, tylko bez porównania większy, nieporuszony stoi przed niemi, wydając ciężkie grobowe westchnienia.

— Kto jesteś? odezwał się drżący i dobrze mi znany głos.

— Módlcie się za mnie! wyrzekłem basem, jestem samobójcą!... Jestem grzesznik Paolo!...

Moje mary, jak zaczną uciekać!...Obadwa spadli ze wschodów, pogubili swoje białe płaszcze a ja wcale się nie zdziwiłem, gdy mi gospodarz powiedział na drugi dzień, że jego siostrzeniec Korneljo i sługa Ubaldo, obadwa zachorowali w nocy i leżą w łóżkach. Przeprowadziłem się do pawilonu, mieszkałem w niém dwa miesiące i zapewniam was moi panowie, że w ciągu tego czasu biała mara ani razu nie raczyła mnie odwiedzić.

— No, bracie, rzekł pan Séjan, dobrze sobie z niemi postąpiłeś, lecz ja jeszcze wszystkiego nie pojąłem...Ty mówisz, że ich było dwóch... więc cóż?....

— Otóż to, oni obadwa byli okryci jednakowo, i obadwa mieli tajemne latarnie; gdy jeden z nich zacząwszy iść przez pokój, doszedł do ściany która oddzielała go od drugiego pokoju, to w tejże chwili zakrywał światło, i uderzy-

wszy w ścianę wybiegał na korytarz, wchodził do trzeciego pokoju i stawał przy ścianie; drugi usłyszawszy znak, odkrywał swoję latarnię i szedł koło okien, do saméj ściany trzeciego pokoju, od któréj daléj prowadziła swoją podróż pierwsza mara, — i tak daléj do końca pawilonu. Wszystko to było tak ułożone, że każdy pomyślałby, iż koło okien przechodzi jedna i taż sama postać. — A tém bardziéj z dziedzieńca, niepodobieństwem było dostrzedz że to złudzenie.

— Dowcipny pomysł!.. Cóż robić, na świecie pełno oszukaństwa, koniecznie czasem trzeba wątpić, namyślać się; lecz znów nie o wszystkiém wątpić...

— Prawdziwie to jest grzechem! przerwał Laroche, otworzywszy swoje przez ciąg mojego opowiadania milczące usta. Nieboszczyk mój ociec—daj mu Boże królestwo niebieskie! chciał także raz rozumować, ale to mu się tak nieudało, że potém przysiągł o niczém nie wątpić, i we wszystko na świecie wierzyć.

— A cóż mu się stało? zapytał gospodarz.

— Oto tak, mój przyjacielu, był to taki przypadek! On sam mi go nieraz opowiadał.

— Opowiedz nam.

— Opowiedzieć nie sztuka, ale tylko patrzeć, jak ci panowie na ząbki mnie wezmą, przydał Laroche, wskazując na Mervilla i Remine, a nawet może co dobrego, i nieboszczykowi mojemu ojcu się dostanie:

— Eh panie! przerwałem, zbliżając się do pana Laroche, co tam oni! Opowiedz pan.

— Tak, tak, przydał gospodarz. Co masz na nich uważać! Opowiadaj.

— No, jeżeli tego koniecznie żądacie to słuchajcie.

* * *

Ojciec mój był człowiekiem starego wieku, chociaż dzięki naprzód Bogu, a potém jego ro-

dzieom, dostatki miał nie małe; i mógłby żyć nie gorzéj od swoich sąsiadów, to jest mógłby był wybudować dom na piętnaście sążni wysoki, zaprowadzić u siebie polowanie z psami, muzykę, oranżerje i inne powszechnie przez majętnych używane przyjemności, lecz on przez całe życie ani razu o tém nie pomyślał, mieszkał sobie w maleńkim domku, nie trzymał więcéj jak dziesięciu służących, polował czasami z jastrzębiem i w wesołą chwilę, bywało, słuchał gęślarza, który,—nie był nim z urzędu, lecz pełnił obowiązki parobka, a przytem śpiewał dosyć głośno, i nie źle grał na gęśli, bywało jak zaryczał, to aż w uszach dzwoniło! Lecz jeżeli nie odznaczał się dom nasz wytwornością, lecz za to chleba było dostatkiem. Dom mojego ojca zbudowany był przy samym głównym trakcie. Jeżeli kto czy w nocy, czy w dzień, stanął na popas we wsi, i gdy podróżny jakoś nie był prostym człowiekiem, tak zaraz kazał go zaprowadzić do dworu. Bywało, jak zciągnął gości do siebie, to tak ich częstował, że przed odjazdem na nogach ustać nie mogli, każdy co chciał mógł dostać. Różnych cudzoziemskich

napojów ze dwadzieścia gatunków beczkami stało w piwnicy, a o wódkach, to nawet wspominać nie warto!

Raz w zimie, w sześć miesięcy po śmierci mojéj matki, siedział sam jeden w swoim ulubionym pokoju. Mnie wtenczas w domu nie było, już trzeci rok służyłem w wojsku. Już się dobrze zmierzchać zaczęło. Na dworze była zamieć, przejmujące zimno, które około dziesiątéj tak się powiększyło, że od mrozu aż ściany w domu trzeszczały. W taką porę gość spodziewać się nie można. Cóż robić? nieboszczyk ojciec, żeby mu czas zszedł do kolacji,— a on nigdy nie pozwolił zastawiać stołu przed jedenastą, — wziął się do książki. Wpadło mu w ręce, *zwierciadło sumienia ludzkiego*. Otworzył ją, i właśnie natrafił na obraz grzesznika, z którym djabli tańczą walca, a jeden djabeł w postaci wieprza wyłazi mu z brzucha, ojciec ją zamknął, zaczął rozumować i rozmyślać nad tém. Lecz im więcéj myślał, tém mu się zdawało bardziej niespodobném takie zdarzenie z człowiekiem, chociaż opis jego był drukowany.

Otóż w czasie tych rozmyślań zadrzémał. Wtém w uszach mu zadzwoniło: ocknął się, słyszy, — bije zegar w jego pokoju dziesiątą godzinę.

Ledwie się podniósł, chcąc kazać zastawić wieczerzę, gdy wszedł do pokoju ulubiony jego sługa Andrzéj, i postawił na stole dwie zapalone świece. Czego chcesz, bracie? Zapytał ojciec. — Przyszedłem donieść panu, odpowiedział sługa, że zatrzymało się we wsi kilku żołnierzy, którzy wracają z urlopu. No, więc cóż? przerwał ojciec: biegnij do wsi, proś ich do mnie, i nie przyjmuj żadnych wymówek.

—Już ich prosiłem panie, i oni zaraz przyjdą, wyjąknął przez zęby Andrzéj.—Więc powiedz żeby przygotowano jeszcze co na wieczerzę, mówił daléj ojciec, każ przynieść z piwnicy baryłkę wódki, dwie butelki wiszniówki, dwie rumu i ze cztery wina. Idź!

Sługa odszedł. W pięć minut weszło do pokoju trzech żołnierzy i jeden podeszły mieszczanin w długim surducie. Ukłonili się go-

spodarzowi, podziękowali za zaproszenie, a ojciec kazał dać wódki.

Wszedł znów Andrzéj, postawił na stole; talerz z zakąską, baryłkę z wódką i dwa srebrne kwaterkowe kieliszki. No dzieci! rzekł ojciec, nalewając im po brzegi kieliszki, pijcie! Goście się ukłonili, połknęli po kieliszku, a nie mogąc się doczekać powtórnego zaproszenia, sami sobie naleli po drugim, — a nawet po trzecim, żaden nie zostawił w kieliszku ani kropli! A to pijaki! pomyślał sobie ojciec. Nie ma co mówić... młodzież! Ale co za twarze mają! W istocie nie można powiedzieć ażeby byli pięknemi. Jeden miał głowę większą od całego kadłubu, drugi tak był tłusty, że brzuch mu się włóczył po ziemi, trzeci miał oczy zielone, a nos zagięty jak chaczyk, wszyscy mieli twarze koloru rozpalonych cegieł, lecz ze wszystkich najciekawsza była głowa mieszczanina! Była ona łysa, i okrągła jak kula bilardowa, osadę jéj stanowiły dwa wązkie ramiona, z których jedno było o trzy cale wyższe od drugiego; szeroki podbródek podobny do średniéj napchanéj puchem poduszki, zakrywał niż-

szą część policzków; na dawno niegolonéj brodzie, sterczała szczecina w około sinéj twarzy, ogromny nos był tak czerwony, że można było go wziąść za rozpalony węgel, maleńkie przymrużone oczy migały się i błyszczały jak oczy dzikiego kota, kiedy się skrada w nocy do spiącego ptaszka. Ciągle się uśmiechał, lecz ten uśmiech jak on powiadał mój nieboszczyk ojciec, był podobny do uśmiechu psa, pokazującego zęby na obcego przechodnie, albo drugiemu psu kość chcącego odebrać.

Gdy goście wypróżniwszy baryłkę zostali bez żadnego zajęcia, ojciec chcąc ich zatrudnić czémkolwiek, zaczął z niemi rozmawiać.

— No cóż przyjaciele, zapytał żołnierzy; co u was słychać?

— Nic panie, odpowiedział brzuchacz: wszystko po dawnemu, pijemy, bawiemy się, piosnki śpiewamy.

— Bawcie się moje dzieci, tylko nie zapominajcie o Bogu!

— Żołnierze się rozśmieli, a mieszczanin

wyszczerzył zęby jak głodny wilk, i rzekł: Co tam o tém mówić, panie! aby tylko była wódka, pieniądze, a reszta wszystko fraszka.

Ojciec się zachmurzył, lubił on zjeść, wypić, pobawić się; lecz był zawsze uczciwym człowiekiem i o Bogu nie zapominał. Po chwili milczenia zapytał mieszczanina, czém się zwykle trudni?

—Służę przy sądzie kryminalnym, panie, odpowiedział z nizkim uśmiechem.

— Cóż porabia wasz prezydent? zapytał ojciec.

— Co porabia? powtórzył mieszczanin: to co i dawniéj. Sądzi sprawy...

— Tak, tak! zawołali razem żołnierze.

— Więc i wy go znacie? zapytał ojciec.

— A jakże! odpowiedział jeden: wszyscy jesteśmy jego przyjaciołmi, tylko z utęsknieniem czekamy jego przyjazdu do nas.

— Więc on ma do was przyjechać?

— Prawdziwie, powtórzył żołnierz z ogromną głową. Jakże towarzysze czy nie?

— Wszyscy się znowu rozśmieli, a mieszcza-

nin przymrużywszy swoje maleńkie oczki, dodał z złośliwym uśmiechem: — Nie ma co mówić, przyjedzie pewno, ale z przyjęciem jego to dopiero będzie nie mało trudność! Przed miesiącem, już nawet siadał do powozu, ale się rozmyślił.

— Jakto? zawołał ojciec: przecież przed miesiącem on był śmiertelnie chory.

— Otóż to właśnie! Z tego też powodu wybierał się w drogę.

— A, rozumiem! przerwał ojciec: zapewnie doktór poradził mu się przejechać?

— Rozumie się! zawołali z głośnym uśmiechem żołnierze; w naszéj prowincji nawet jest ciepléj; można się ugrzać ile kto zechce!

Ten bezustanny śmiech gości, ich odrażające postaci, i dwuznaczna rozmowa, w któréj było cóś ukrytego, nie podobały się ojcu: lecz cóż było robić; zaprosił gości, więc trzeba ich było przyjmować! Pragnąc ich pozbyć się, jak można najprędzéj, zawołał żeby podano wieczerzę.

W pół godziny stół był już nakryty, zastaw

wiono półmiski i butelki z rumem i winem, przyniesiono do pokoju, wszystko to robił Andrzéj, kilka razy chciał go się ojciec zapytać co robią inni ludzie, lecz za każdym razem jakby umyślnie którykolwiek z gości, przeszkodził mu swoją rozmową, która coraz stawała się dziwniejszą.

Żołnierze opowiadali mu swoją młodość, a mieszczanin mówił o różnych kryminalnych sprawach. Wkrótce tak zajęli ojca, że siadając za stół, zapomniał nawet zmówić modlitwę. Przy wieczerzy nic nie jadł, lecz nie chcąc odstępować od gości, wypił cztery butelki wina i butelkę rumu, jeszcze to niebyło nadzwyczajnością, nieboszczyk mój ojciec, pił nieźle i od sześciu butelek nie straciłby przytomności! Lecz tylko to było dziwnem, że goście nalewali sobie pełne szklenice a butelka zawsze jednak dochodziła do niego wcale nie napoczęta, zdaje się że powinien się był nad tém zastanowić, a on nie uważał na to i dopiero przypomniał sobie na drugi dzień; przy wieczerzy zdawało mu się że tak być powinno. Już wam mówiłem, że mój ojciec mógł pić nie mało, lecz cztery butelki

wina, i prawie kwarta rumu, muszą koniecznie wywrzéć jakikolwiek wpływ na każdego. Dla tego też przy końcu wieczerzy tak był podchmielony że nawet niekształtne twarze gości zdawały mu się przyjemnemi i parę razy uściskał mieszczanina i pocałował się z żołnierzami. Zaczęła się rozmowa o różnych przypadkach miłośnych, zaczęto żartować, a nawet—przykro powtórzyć!—zapomniawszy że siedzą przy stole jak prawdziwi heretycy, zaczęli wyśpiewywać nieprzyzwoite piosnki i podskakiwać na krzesłach. W innym czasie mój ojciec nie zniósłby żadnych bezbożności w swoim domu: a tu zupełnie zaślepiony, sam im zaczął dopomagać w śpiewaniu i tylko że się mógł wstrzymać od skakania. Tymczasem żółnierze sprzykrzywszy sobie śpiewy, zaczęli robić różne żarty: jeden mówił brzuchem, drugi uchwycił się za nos, urwał głowę i zaczął nią bawić się jak piłką. Cóż sobie panowie myślicie, czy mój ojciec przestraszył się? — Nie!—to wszystko zdawało mu się bardzo zabawném i aż pokładał się od śmiechu. Oho! zawołał mieszczanin, tam o to na ostatniém oknie stoi jeszcze butelka z rumem, czy-

byśmy niemogli jéj skosztować? Lecz nie wstawaj pan! Ja i tak ją dostanę—przydał, wyciągając rękę przez cały pokój.

— O! jaką ty masz rączkę przyjacielu! zawołał z głośnym śmiechem ojciec: przeszło ośm łokci! Niedarmo to mówią że u mieszczan długie ręce.„

— Lecz za to pamięć krótka, przerwał jeden z żołnierzy.

— Zaraz zobaczycie! rzekł mieszczanin postawiwszy butelkę na środku stołu. Zapewnie zapomnieliście czyje należy pić zdrowie, a ja pamiętam: zacznijmy od młodszych: za zdrowie moich kolegów! za mną!—Hurra!

— Wypiliśmy! zawołał żołnierz z zagiętym nosem; teraz pijmy za zdrowie naszego przełożonego, kto będzie pił z nami ten do nas należy a kto jest nasz, ten musi mu być podległym.

— A jak się nazywa wasz przełożony? zapytał ojciec sięgając po szklankę.

— Co ci po jego nazwisku! rzekł żołnierz z wielką głową. Mów tylko za nami, za zdro-

wie tego, który z żebraka chciał zostać wielkim panem, i choć siedział wysoko, i upadł bardzo głęboko, jednak nie rospacza.

— Lecz któż on jest?

Nasz pan jest bardzo dobry; łatwa jest służba u niego: a co?...wszakto nie życie ale zapusty, wszak prawda?

Chociaż był podchmielony mój ojciec, jednakże się zastanowił.

— Z resztą jak wypijesz, to go poznasz, przerwał mieszczanin. No, bracia, razem: Niech żyje nasz ojciec i dowódca!

Wszyscy prócz ojca wychylili swoje szklanki.

— Coż to, gospodarzu! zawołał mieszczanin; to pan nie pijesz?

— Nie, mój drogi, odpowiedział ojciec: i tak już dosyć piłem. Nie chcę!

—Cóż ci się zrobiło? zapytał tłusty żołnierz: o czém się tak zamyśliłeś? Héj, koledzy, trze-

ba rozweselić gospodarza: czy nie potańczemy?

— W istocie, przydał mieszczanin. Siedzieliśmy już dosyć: trzeba potańczyć.

— Kiedy tańczyć, to tańczyć, krzyknęli wszyscy.

— Zaczekajcież, przyjaciele! rzekł ojciec wstając: każę zawołać mojego gęślarza.

— Na co? przerwał mieszczanin. U nas się znajdzie nasza własna muzyka. Héj, wy! zaczynajcie!

— W tém, za piecem się odezwała kobza, piszczałka, rożki i wszystkie inne instrumenta; zagrzmiały talerze, potém dały się słyszeć ludzkie głosy; cały chór zaryczał, i rozpoczęły się tańce!

— No, gospodarzu! rzekł żołnierz, z zagiętym nosem, zwróciwszy na ojca swoje zielone oczy: zobaczemy czy jesteś zgrabny...

— Nie! rzekł ojciec, zaczynając jakby przez sen pojmować, że tu coś niedobrego. Bawcie się jak chcecie, a ja tańczyć nie będę.

—Nie będziesz? zaryczał tłusty żołnierz! Zobaczemy!

Wszyscy goście przyskoczyli. — Ojca nieboszczyka zaczęła trząść febra, — w miejscu czterech, chociaż nie bardzo przystojnych, ale zawsze ludzi, stanęły przed nim cztery straszydła, takiego wielkiego wzrostu, że gdy się wyciągnęli, to podłoga i sufit trzeszczały; twarze ich nie zmieniły się, ale zrobiły się jeszcze brzydsze.

— Nie będziesz? powtórzył uśmiechając się mieszczanin. Trzeba tańczyć, przyjacielu! t znaczniejsi od ciebie tańczyli z nami, a nawe zupełnie obcy; a przecież ty nasz jesteś.

— Jakto wasz? rzekł ojciec.

— A czyjże? Jesteś rozsądnym człowiekiem, wiedzieć powinieneś że dwóm panom służyć nie można, a przecięż ty służysz naszemu?

—O jakim ty znowu mówisz panu? zapytał ojciec, drżąc jak jesienny listek.

— O jakim? o tym, o którym mówiłem ci przy wieczerzy! O tym, którego sługi kładą się

spać bez modlitwy, bez przeżegnania siadają do stołu, piją, cieszą się, i w nic niewierzą.

— Lecz cóż to za pan? rzekł ojciec, nie zrozumiawszy dotąd jeszcze o kim tu mowa....

— Oho, przyjacielu!... odezwał się mieszczanin, to ty się widzę ciągle będziesz wypierał! Nie, kochanku; nas się nie wyprzesz. Kiedy stosujesz się do rozkazów naszego pana, więc jesteś jego sługą. A przypomniej też sobie dobrze, czy modliłeś się dzisiaj kładąc się spać? Czy nie piłeś, czy nie bawiłeś się z nami? A przed dwiema godzinami gdy zobaczyłeś w téj książce obrazek, na którym przedstawiony był grzesznik tańczący z... No, wiesz z kim! — Czy uwierzyłeś temu?

Krew zastygła w żyłach nieboszczyka ojca. Teraz jakby zdjęto z jego oczów przepaskę, wszystko się wyjaśniło. Boże mój! zawołał, chcąc się przeżegnać, lecz nie mógł ręki podnieść, palcem nie mógł ruszyć, ale za to nogi już pląsać same zaczęły! Mój ojciec opowiadając mi o tém, zawsze się dziwił, jak dusza w ciele jego pozostać mogła. Pamiętał tylko

to jedno, że cały pokój napełnił się ogniem i dymem, gdy go przerzucali olbrzymy z rąk do rąk, grali nim w piłkę, taczali jak wałeczek, jak unosił się w powietrzu, jak bił się o sufit, i jak nakoniec przetańczywszy na głowie wałeczyka, zupełnie stracił przytomność.

Gdy ojciec przyszedł do siebie, spostrzegł, że leży na kanapie, że w około niego stoją i kręcą się jego słudzy. I cóż; zapytał spiesznie, oglądając się w około jak warjat: czy już odeszli?

— Kto panie? zapytał jeden z lokai.

— Kto! powtórzył ojciec z mimowolną odrazą, kto!... Ci żołnierze i mieszczanin.

— Jacy panie żołnierze i mieszczanin? przerwał bufetowy, Tomasz. Żadnych tu gości nie było, i pan nie raczyłeś nawet wczoraj jeść wieczerzy: ja czekałem, czekałem, gdy wszedłem do pokoju, zobaczyłem, że pan leżysz na podłodze, cały w potach, jakby pana szatan nawiedził.

— Więc u mnie gości nie było? rzekł ojciec, z trudnością powstając.

— Nie było panie.

— Czyż ja to wszystko we śnie widziałem?.. Lecz nie, to być nie może, mówił ojciec biorąc się za boki, a kości od czegożby mnie tak bolały?.. A te dwie świece, kto je na stole postawił?

— Nie wiem, odpowiedział bufetowy, zapewnie pan sam kazał je zapalić, lecz przespawszy się zapomniałeś pan.

— Kłamiesz! krzyknął ojciec. pamiętam, że je przyniósł Andrzéj, on i stoł nakrywał i wieczerzę podawał.

— Wszyscy spojrzeli jeden na drugiego z widocznym wstrętem. Gęślarz chciał cóś powiedzieć, lecz się zająknął, i nie wymówił ani słowa.

— No, cóż wy głupcy, czyście poniemieli? rzekł ojciec. Mówię wam że u mnie byli goście i że Andrzéj usługiwał do stołu.

— Zmiłuj się pan! rzekł Tomasz czyś pan zapomniał że Andrzéj od tygodnia leży chory w malignie.

— Widać mu się lepiej zrobiło, on o dzie·

siątéj godzinie był tutaj. Zawołajcie mi tu Andrzeja, gdzie on.

— Pan się pyta gdzie Andrzéj? odezwał się nakoniec gęślarz.

— Tak! Gdzie jest?

— W przedpokoju leży na łóżku.

— Co ty pleciesz! zawołał ojciec. Andrzéj.

— Umarł nieborak; przerwał służący wchodząc do pokoju.

— On umarł!..

— Tak panie, o dziesiątéj godzinie.

Laroche zamilkł. — Prawdziwie dziwny przycpadek! rzekł pan Sejan, i jeżeli twój ojcienie lubił żartować...

— Cierpieć nie mógł kłamstwa! W całym okręgu słynął za tak szczerego, że myśliwi nie śmieli przy nim o swoich polowaniach ani się odezwać.

— Cóż tu dziwnego? przerwał mój przyjaciel Merville. Ojciec zasnął, nie pamiętał że zapalił dwie świece i prosto we śnie widział to co przed kilku minutami czytał na jawie.

— Później dowiedziano się, mówił daléj La-

roche, że w tym dniu właśnie przejeżdżało przez wieś trzech żołnierzy i mieszczanin, lecz nigdzie nie wstępowali i w tymże tygodniu, gdy rachowano butelki w piwnicy, to dwóch butelek araku i czterech wina brakowało.

— Zapewnie. że to jest nadzwyczajny zbieg okoliczności, rzekł komendant.

— Wszyscy się temu dziwili, przydał Laroche

— To jest, przejazdowi żołnierzy i mieszczanina, przerwał Merville bo że w piwnicy brakowało kilku butelek, to tylko dowodzi, że piwniczny nieboszczyka ojca, lubił odwiedzać pańskie wino i rum, a przy podobném zdarzeniu, zwalił całą winę na biednego djabła.

— Macie też o co się sprzeczać! rzekł Remine, spojrzawszy ukosem na mojego przyjaciela. Ty jesteś zupełnie Tomaszem niewiernym. Bo cóż tu dziwnego? Czy to tylko takie w życiu ludzkiém bywają przypadki? O, gdybym ja wam opowiedział, co słyszałem na moje własne uszy, od jednego z moich znajomych.

— Który się o tém dowiedział, przydał z uśmiechem komendant, od swjego przyjaciela, a temu przyjacielowi opowiadała kuma, a kuma słyszała od swojegoo dziadka, a dziadek...

— Nie, bardzo przepraszam, przerwał Remine, ten kto mnie to opawiadał, nie tylko był naocznym, lecz nawet czynnym, i biernym świadkiem, tego nadzwyczajneego zdarzenia...

— Nadzwyczajnego! powtórzył z ciekawością gospodarz.

— Tak, panie, nadzwyczajnego zdarzenia; tak nadzwyczajnego, że go muszę wam opowiedzieć, tém więcéj że nie można nawet powątpiewać o rzeczywistości tego.

— Ach, panowie! zawołał komendant, to zaczyna być bardzo interesującém, być łaskaw, nie trać czasu, opowiedz prędzéj...

— On żartuje panowie! rzekł gospodarz.

— Właśnie dowiodę że przeciwnie, przerwał

Remine. Proszę słuchać. Lecz i ty słuchaj, przydał obróciwszy się do Mervilla: ty wszystko podciągasz pod prawa natury. — Zobaczemy, jak wyjaśnisz to, co się zdarzyło mojemu przyjacielowi!

* * *

— Jeżeli kto z was, panowie, stale zamieszkiwał kiedy w Paryżu, tak zaczął opowiadać Remine, odstawiwszy na bok swoją fajkę: to zapewnie dostrzegł, że perjodyczne napady naszych braci prowincjonalnych, na stolicę, zaczynają się po większéj części przed Bożém narodzeniem. Prawie w jednym czasie z rozpoczęciem karnawału, zaczynają się ciągnąć przez dwie przeciwne rogatki dwa nieprzerwane szeregi karet, koczów, innych powozów, z całemi

rodzinami wiejskich obywateli, którzy spieszą do stolicy, dla zabawy, dla wyszukania zięciów, pokazania córek i stracenia w ciągu kilku tygodni wszystkiego, co zebrali przez cały rok. Lecz w 1796 roku, ten zjazd czasowych mieszkańców Paryża, zaczął się z pierwszym przymrozkiem, a zima w tym roku wcześniejsza była; — i podług zepewnienia starców, nigdy jeszcze stolica nie była tak napełniona, czyli nabita parafjanami. Bogatsi wzruszali ramionami, jeżeli na ich balach nie można było naliczyć przeszło dwóch tysięcy gości, i jednogłośnie oskarżali oto Włocha, który bez przerwy dawał maskarady w salach teatru Panteon. Rzeczywiście, publiczne maskarady, na których nie tańczono, ale duszono, i dławiono się wzajemnie, były téj zimy ulubioną zabawą publiczności Paryskiéj. W liczbie nieodstępnych amatorów tych maskarad, był pewien młody człowiek, także przybyły na karnawał, tylko że nie z prowincji. Jan Ingres, — tak się nazywał ten młody człowiek, — tylko co powrócił z podróży do obcych krajów. Długo mieszkał we Włoszech, namiętnie lubił muzykę, i zawsze mówił

z zapałem o Italjańskiéj muzyce, ten zapał zmieniał się nawet w szaleństwo prawie, gdy była mowa o pewnéj prima-donie neapolitańskiego teatru. W rozmowie nazywał ją Laurettą, lecz nie chciał żadnemu ze swoich znajomych wyjawić jéj nazwiska, pod którém znaną była w muzykalnym świecie. Można było dostrzedz, że nie same tylko przywiązanie do muzyki, przyczyną jest jego entuzjazmu, i chociaż Ingres nikomu nie powierzył swojéj miłosnéj tajemnicy, jednak wszyscy jego przyjaciele, a w ich liczbie i ja, odgadli dla czego on jest ciągle smutny i zamyślony, ożywia się zaś tylko wtenczas, gdy z nim kto zacznie rozmawiać o operze włoskiéj. Jego wieczne zadumanie, troskę, smutek i jakąś ponurą rospacz, które w Anglji nazwanoby splinem, my po prostu nazywaliśmy melancholją, i zawsze śmieliśmy się z jego doktora, gdy on rozważając moralną chorobę naszego przyjaciela, z powątpiewaniem poruszał głową. Już dosyć, doktorze! mawialiśmy do niego, co masz za ochotę nabijać jego żołądek pigułkami? przepisz mu po parę butelek szampana na dzień

pięć albo sześć odwiedzin w tygodniu, bale, teatra, maskarady, a to będzie pewnie lepsze od tych roztwarzających, i wzbudzających lekarstw. Chociaż z początku upierał się doktór, lecz późniéj postanowił posłuchać naszéj rady, i kazał choremu ciągle jeździć na bale, i nie opuszczać żadnéj maskarady. W istocie mając udział we wszystkich zabawach stolicy, nasz chory zaczął być spokojniejszym i weselszym. Zdarzeło się nie raz że nie był w teatrze, albo też nie przyjął zaproszenia na bal, lecz za to na każdą maskaradę przychodził pierwszy a odjeżdzał z niéj ostatni.

Służyłem wówczas jeszcze w gwardji. Mój urlop kończył się w pierwszym tygodniu wielkiego postu, i żeby nie spóźnić się do pułku, powinienem był wyjechać z Paryża w ostatni poniedziałek. Pragnąc korzystać z ostatnich dni, i ubawić się, jak to mówię do syta, postanowiłem przepędzić tydzień cały bardzo wesoło. Co dzień bywałem na proszonych obiadach wieczorem w teatrach, a w nocy do samego rana na balach, i domowych maskaradach. Cały tydzień nie mogłem nawet zebrać myśli, i straci-

łem zupełnie z oczu mojego przyjaciela Ingres. W niedzielę przyjechałem wcześniej niż zwykle na maskaradę. Tłok był bardzo wielki, każde drzwi trzeba było szturmem zdobywać i zaledwie po czterech godzinach dostałem się, do rotundy. Muzyka, głośne rozmowy, pisk masek,—które bez względu na to że ledwie oddychały od gorąca, nie przestawały jednak wszystkich zaczepiać, tłoczyć się i pleść dziecińatwa—rażące światło powiększone jeszcze przez odbicie się w lustrach, rozmaitość ubiorów i ten niepojęty głuszący szmer tłumu, złożonego z ludzi chcących koniecznie bawić się — wszystko to z początku tak moje myśli rozerwało, żem przez kilka minut nie słyszał i niewidział nikogo. Chcąc zebrać siły moralne, zacząłem szukać miejsca, na którem mogłbym usiąść. Przedzierając się przez tłumy, usłyszałem że ktoś woła mnie po imieniu, obróciłem się—patrzę: wysoki męszczyzna w czerwoném dominie i w masce, wzywa mnie ręką. W chwili gdy się do niego zbliżyłem, jego sąsiad wstał z miejsca.

— Usiądź tu, rzekło domino, przecież się z to-

hą spotkałem. Lecz czegoż tak patrzysz na mnie? czy nie poznałeś mnie po głosie?

— Tak! pomyślałem sobie, ten głos ma w sobie cóś znajomego mi, lecz jest tak dziki, tak ostry...

— Jeżeli mnie nie poznajesz, to patrz! rzekło domino podnosząc maskę.

— Mimowolnie odskoczyłem, serce we mnie zastygło od przestrachu... Mój Boże! tak pewno; to Ingres, to jego rysy...O niezawodnie!..to on, pewno on!.. Nie, nie!..żywy człowiek nie może mieć takiéj twarzy!

— Cóż? zapytał z uśmiechem. Czy i ty sądzisz że się zmieniłem?

— O! nadzwyczajnie!

— I dla czegóż mówią że smutek zmienia człowieka...nie prawda! Nie smutek, lecz radość.

— Radość?

— Tak, mój przyjacielu! O, gdybyś wiedział jak jestem szczęśliwy! Słuchaj! przydał pół głosem, oglądając się w około, tylko przez Bo-

ga, żeby nikt o tém nie wiedział! Ona jest tutaj!

— Ona?..kto?

— Lauretta.

— Do prawdy?

— Tak, mój przyjacielu, ona jest tutaj. O, jak ona mnie kocha! Ona porzuciła swoją rodzinę, zamieniła swoje wieczno błękitne niebiosa na nasze chmury, tam, wpośród rodziny, ogrzana słońcem błogosławionéj Italji, kwitła jak róża, a tu sama jedna, wśród ludzi martwych i zimnych, jak nasz zimowy śnieg, jeżeli sama niezginie, to straci na zawsze swój talent, przeżyje swoją sławę, a to wszystko dla mnie!..Ona przywykła oddychać ognistém powietrzem Italji, nie zraziła się naszém powietrzem, zapomniała o wszystkiem, porzuciła wszystko, żywa zaległa tę obszerną zimną mogiłę, którą my zamieszkujemy — a wszystko to dla mnie! A wszystko to dla tego, żeby się znowu ze mną zobaczyć!

— Czy tylko ty nie w nadto żywych kolorach przedstawiasz jéj poświęcenie. U nas nie

jest tak gorąco jak we Włoszech, ale i my przecież miewamy i wiosnę i lato. Może w Neapolu weselej niż u nas; jednak ja sądzę, że Paryż nie ma najmniejszego do mogiły podobieństwa. Przytém, nie gniewaj się, ale twoja Lauretta nie jest pierwszą włoską śpiewaczką, którą tu wiedzieliśmy; i jeżeli ona będzie dawała koncerta...

Tylko jeden i to ostatni. Zgodziłem się na to, niech zachwyci cały Paryż, rozgrzeje choć na chwilkę nasze lodowate dusze, a potém umrze dla wszystkich, oprócz mnie jednego.

— Więc ona chce tu pozostać na zawsze?

— Na zawsze. Widzisz więc jak ona mnie kocha! A też za to i ja... O! miłość moja nie jest uczuciem, nie jest namiętnością... nie mój mój przyjacielu, nie!... Nie wiem czy ty ją pojmujesz? Ja cały do niéj należę. Ona prosiła mnie oto, ona żądała tego...

Ingres nachylił się, i dodał cicho:

— Oddałem jéj moją duszę, teraz do niéj ze

wszystkiem należę... Rozumiesz, mój przyjacielu? ze wszystkiém...

Zdarzało mi się nie raz żem oddawał komukolwiek moją duszę: lecz któż z młodych ludzi powściągnąć się może, żeby nie powiedział kochance, że jego dusza do niéj należy, że może nią rozporządzać! Ten zwykły, używany we wszystkich oświadczeniach miłości frazes, nic nie znaczy. Lecz pomimo tego, nie mogę wam opisać z jakiém uczuciem zgrozy, słuchałem wyznania przyjaciela mojego. Tajemniczy głos którym mówił, dziki ogień błyszczących jego oczu, ta jego nierozsądna radość, te wyrazy tryumfu, i blada wyschła twarz trupa.....

— Jak można, rzekłem z gniewem: powtarzać takie dziecińistwa! Dusza nie należy do nas, oddać jéj nie można nikomu, kochaj swoją Włoszkę: ożeń się z nią, jeżeli chcesz: ale jéj tylko oddaj swoje serce...

— Serce! powtórzył z szyderstwem mój przyjaciel. I cóż to serce? Czyż ono jest tak nieśmiertelne jak dusza? czyż ono nie zniszczeje kiedyś w mogile? Piękny mi podarunek, garść

prochu! kto daje swoje serce, ten przyrzeka kochać tylko dotąd, póki ono bije, a ono może i dziś jeszcze zastygnąć; a kto duszę odstępuje, ten oddaje nie życie, nie jedno życie, więcéj nawet niż tysiąc ich, bo całą swoję nieskończoną wieczność. Tak, mój przyjacielu; jeżeli co darować, to duszę. Teraz Lauretta nie boi się; dusza nie jest serce, nie da się zagrzebać w mogiłę...

— Bądź łaskaw, przerwałem, pokaż mi tę czarodziejkę, tę Armidę, która, jak djabeł kusiciel, zdobyła twoję duszę. Zaprowadź mnie do niéj.

— Ja niewiem gdzie ona mieszka.

— Nie? żartujesz!

— Prawdziwie, mój przyjacielu; tylko tutaj się z nią widuję. Do czasu ona nie chce być przez nikogo widzianą; lecz to wszystko zakończy się już wkrótce: po koncercie zaślubi mnie, i pojedziemy na wieś na ciągłe mieszkanie.

— A kiedy będzie jéj koncert?

— W przyszłym tygodniu, w piątek.

— W przyszłym tygodniu?... Nie może być

Zapewnie zapomniałeś, że w pierwszym tygodniu wielkiego postu nie można dawać koncertów.

— Czy tak? Zdaje się że Lagrutta powinna to wiedzieć; a jednak zapewniła mnie; że da swój koncert tutaj w téj rotundzie.

— Tak, musiała się omylić. Czy widziałeś ją dzisiaj?

— Jeszcze nie. Ona nigdy nie przyjeżdża przed dwunastą; lecz za to o saméj północy, choćby było jeszcze ciaśniéj, i choćbym w największéj siedział kryjuwce, ona mnie wynajdzie.

— O północy! rzekłem spojrzawszy na zegarek. Tak jest, za dwie minuty? Zobaczemy czy będzie tak akuratną jak mówisz.

Jeżeli wam samym, panowie, nie zdarzyło się nigdy spotkać się z wielkim postem na maskaradzie, to przynajmniéj słyszeliście, że o saméj połnocy rozlega się na chórach odgłos trąb, i muzyka grać przestaje. To znaczy, że nadszedł wielki post, i że wszystkie publiczne zabawy przerwane są. W chwili gdy spojrzałem na ze-

garek. Który się musiał opóźniać, nad samą moją głową rozległ się przenikliwy odgłos trąb, a to tak nagle, że mimowolnie wzdrygnąłem się, i podniosłem, na chór oczy. To, jak mnie nastraszyli, rzekłem, obracając się do mojego przyjaciela; lecz przy mnie, stało już tylko próżne krzesło. Spojrzałem w około siebie; w odległości, z pośrodku tłumu migało się czerwone domino, dostrzegłem że z nim idzie wysoka kobieta, ubrana w czarną wenecjankę...

Zerwałem się, pobiegłem w trop za niemi, lecz w tymże samym czasie, wyprzedziły mnie trzy maski, około których taki był natłok, że się nie mogłem przecisnąć, i straciłem z oczu czerwone domino mojego przyjaciela. Te maski tylko co się zjawiły w rotundzie, jedna z nich była ubrana w jakąś długą tunikę, i wielką papierową czapkę, na któréj było napisano ogromnemi literami, Post, po obu jéj stronach szły inne dwie maski, z których jedna była ubrana w grzyby, a druga w kapustę. Te straszydła winszowały wszystkim wielkiego postu, dodając do tego różne żarciki, od któ-

rych obecni, śmieli się aż do zbytku. Ja jeden nie śmiałęm się, lecz pracowałem usilnie i rękami i nogami, żeby się przedrzéć przez tłumy. Nakoniec, udało mi się natrafić, na przestronniejsze cokolwiek miejsce, obiegłem całą rotundę, bocznegalerje lecz nie spotkałem nigdzie ani czerwonego domina, ani czarnéj wenetki. Na drugi dzień pojechałem pożegnać się z Ingresem nie zastałem go w domu, a wieczorem jechałem już przez wielką Liońską drogę.

Upłynęło więcéj niż trzy miesiące od mojego wyjazdu z Paryżu. Zatrudniony ciągle służbą i processem, który zaczął się za mojego dziadka, a niewiem czy za moich wnuków się skończy; zupełnie zapomniałem o mojém ostatniém spotkaniu się i rozmowie z Ingresem, Raz w kawiarni, przebiegając nie pamiętam jaki zagraniczny dziennik, natrafiłem niespodziewanie na artykuł, w którym donoszono; że primadonna z Neapolitańskiego teatru, Lauretta Balduci, z wielkim żalem wszystkich lubowników muzyki, rozstała się z tym światem, w ostatnich dniach miesiąca Lutego, w własnéj swojéj willi, niedaleko od Portici.—Lauretta! powtórzyłem

mimowolnie. Primadonna z Neapolitańskiego teatru!..Ach, mój Boże: to taż sama włoska śpiewaczka w której do szaleństwa zakochany biedny Ingres! Lecz jakże ona mogła umrzeć w ostatnich dniach Lutego blisko Neapolu, kiedy w tym samym czasie było u nas w Paryżu na maskaradzie u Włocha?..Co za dziecińistwo. Tegoż dnia jeszcze napisałem do jednego z moich przyjaciół, z zapytaniem, czy zdrów Ingres, gdzie jest i co słychać o zamierzoném jego małżeństwie z pewną zagraniczną artystką.— W odpowiedzi na ten list, uwiadomiono mnie, że w pierwszym tygodniu wielkiego postu, rano w sobotę, znaleziono Ingresa, na placu Villain, w bliskości teatru, że był śmiertelnie chory i już dwa tygodnie jak mu dla leczenia się kazano wyjechać na prowincję. Nakoniec w tydzień potem, zupełnie się tego nie spodziewając spotkaliśmy się. Po przywitaniu nie czekając mojéj prośby, opowiedział swoje cudowne przypadki, które się rozpoczęły w rotundzie maskaradowéj, a skończyły na placu Villain. Oto jest dosłowna treść tego opowiadania, tak jak ją słyszałem od biednego mojego przyjaciela.

— Zapewnie pamiętasz, jak w czasie ostatniego widzenia się z tobą na maraskadzie u Włocha, w chwili kiedy na chórach zatrąbiono północ, dostrzegłem w pośród tłumu masek, Laurettę, ktora zbliżając się, wzywała mnie ręką. Byłeś wtenczas czém inném zajęty i zdaje mi się nie uważałeś jak zerwałem się z miejsca i pobiegłem za nią.

— Idź natychmiast do domu, rzekła, gdy ją wziąłem za rękę, żądam także żebyś przez cztery dni ciągle nigdzie nie wychodził inie przyjmował u siebie nikogo. Przez cały ten czas ani razu nie zobaczemy się z sobą. Przyjdź tu w piątek wieczorem sam jeden o godzinie dwunastéj w nocy. Tu w rotundzie będzie próba koncertu, który mam dać w sobotę. — Lecz dla czego tak późno, zapytałem, i czy mnie tam wpuszczą? Nie bój się odpowiedziała Lauretta, dla ciebie drzwi będą otwarte: a na repetycję dla tego północ przeznaczono żeby nikt o tém nie wiedział oprócz kilku artystów i amatorów, których zaprosiłam. Teraz idź prędzéj, jeżeli dopełnisz wszystko czego ja żądam od ciebie, to będę twoją na zawsze. A jeżeli nie usłuchasz

a osobliwie, jeżeli dozwolisz wpuście do siebie twojego przyjaciela z którym nie dawno razem siedziałeś, i któremu opowiedziałeś to o czém powinieneś był zamilczéć, to nigdy się nie zobaczémy ani w tym, ani w tamtym świecie, i chociaż mój przyjacielu wszystkich światów liczby nie ma, jednakże na żadnym z nich nie zobaczemy się!

— Po dwóch latach strawionych przeze mnie w Neapolu, przywykłem już do kaprysów Lauretty. Jest to zachwycająca kobieta, cicha pokorna jak małe dziecko, lecz dumna i nieugięta, jak upadły anioł, łączy w sobie wszystkie ostateczności. Raz gotowa była walczyć z samém nawet niebem, w nic nie wierzyła, śmiała się ze wszystkiego, i znów bez żadnéj przyczyny stawała się zabobonną do najwyższego stopnia, widziała wszędzie złych duchów radziła się wróżek, i jeżeli nie kochała, to przynajmniéj bała się Boga. Czssami, nazywała siebie niewolnicą moją, i była nią rzeczywiście, lecz gdy ta chwila pokory przeszła za-

mieniała się w taką samowładną kobietę, że nie mogła znieść najmniejszego sprzeciwienia się jéj woli, i dla tego żądania jej nie zdawały mi się nadzwyczajnemi, nie śmiałem jéj uczynić żadnéj uwagi, i bez namysłu przyrzekłem wypełnić jéj wolę, tém bardziéj, że podług jéj wyrazów, miało to być ostatnią próbą mojéj miłości.

Możesz sobie wystawić, mówił daléj Ingres, z jaką niecierpliwością oczekiwałem Piątku. Kazałem wszystkim powiadać, że mnie nie ma w domu, a nawet nie przyjąłem ciebie gdyś przyjechał nazajutrz z pożegnaniem. W dzień przechadzałem się po moich pokojach, nie mogłem się niczém zająć, płonąłem jak wśród ognia; a w nocy, — o mój przyjacielu, takich piekielnych nocy nie mają nawet przestępcy przed wykonaniem na nich wyroku! Tak nie dręczono ludzi nawet wtenczas gdy tortury były nauką! Nie wiem jak przeżyłem do piątku; pamiętam tylko że w ostatnim dniu mojéj proby, nic jeść ani pić nie mogłem. Głowa mi pałała, krew nie płynęła, lecz gotowała się

w moich żyłach. W uszach rozlegał mi się głuszący odgłos dzwonów. Przede mną leżał zegarek, gdy wskazówka zaczęła się zbliżać do północy, niecierpliwość moja zmieniała się w szaleństwo; ledwie oddychałem; trzęsła mnie febra, i zimny pot występował na twarz. O wpół do dwunastéj, wziąłem płaszcz i wyszedłem. Wszystkie ulice były puste, chociaż moje mieszkanie było może o ćwierć mili od teatru, lecz w dziesięć minut już byłem na miejscu.

Noc była nieoświecona blaskiem księżyca lecz za to gwiazdy wydawały się większe i jaśniejsze niż zwykle; wiele z nich padało prosto na dach teatru, i rozsypując się w iskry gasło. Zbliżyłem się do głównego wjazdu. Jedne drzwi były tylko przymknięte, przy nich stał z latarnią stróż jakiś; dał mi znak ręką i poszedł naprzód przez ciemne kurytarze. Nie wiem czy dla tego że przyszedłem już na naznaczone miejsce, czy z innéj przyczyny, dosyć że stałem się daleko spokojniejszym, i pamiętam, że przyjrzawszy się mojemu przewodnikowi, dostrzegłem że on postępuje na przód, nie po-

ruszając nóg, i że jego oczy tak były tęskne i nie ruchome, jak szklanne, które wprawiają woskowym figurom. Przeszedłszy długą galeryą, weszliśmy nakonięc w rotundę.

Była już oświetlona; we wszystkich żyrandolach i kandelabrach, paliły się świece, lecz pomimo tego, było w niéj ciemuo; wszystkie bowiem światełka jakby narysowane, nie rozlewały w około siebie żadnego światła, i tylko ustawione rzędem cztery grube świece, na wysokich pogrzebowych podświecznikach, rzucały słabe światło na pierwsze rzędy krzeseł, i zbudowane przed niemi wzniesienie. Ten amfiteatr, był zastawiony pulpitami, nótami, instrumentami, świecami, — słowem wszystko było przygotowane do koncertu, lecz orkiestry jeszcze nie było.

W pierwszych rzędach krzeseł siedziało trzydziestu do czterdziestu ludzi z których jedni byli w francuzkim stroju, z upodrowanemi głowami, inni w długich surdutach: usiadłem przy jednym z tych ostatnich.

— Pozwól się pan zapytać, rzekłem do mo-

jego sąsiada, czy to są ci lubownicy muzyki i artyści których zaprosiła Signora Balducci?

— Tak jest.

— Czybyś pan nie był łaskaw, powiedzieć mi, kto jest ten młody człowiek, w prostym niemieckim kaftanie, z taką wyrazistą fizognomją: ten oto, co siedzi w pierwszym rzędzie na końcu?

— To Mozart.

— Mozart! powtórzyłem. Jaki Mozart?

— Jaki? dziwne pytanie! Rozumie się, autor Don Juana, Fletu zaczarowanego...

— Co pan mówisz! przerwałem, przecież on umarł przed czterema latami.

— Przepraszam, on umarł w roku 1791 w Październiku, to jest już temu lat 5. Przy nim siedzi Cimaroza i Händel, za nim Rameaux i Gluck.

— Rameaux i Gluck?...

— A oto na lewo nas, stoi kapelmistrz Araja autor ulubionéj opery Bellerofont... Z nim teraz rozmawia Lulli.

— Kapelmistrz Ludwika XIV?

— Tak jest. Oto, widzisz pan, w ciemnym zakątku, tylko mu się pan przyjrzéj? — to jest Jean Jacques Rousseau. Jest on tu zaproszony nie jako artysta, lecz jako znawca i lubownik muzyki. Jego wiejski czarownik jest bardzo dobrą operą, lecz sam się zapewnie pan zgodzisz...

— Lecz cóż to znaczy? przerwałem, spojrzawszy w oczy mojemu sąsiadowi; i już go chciałem zapytać, jak śmie, tak ze mnie żartować, gdy w tém zobaczyłem, że to mój dawny znajomy stary Wolf, namiętny lubownik muzyki i wielki żartowniś. Oho! zawołałem. To pan, ze mną mówisz?

— Tak, to ja! odpowiedział zimno.

— Przyjechałeś pan tu także na repetycję jutrzejszego koncertu?

Sąsiad mój kiwnął głową.

— Jednakże, pozwól pan!... mówiłem daléj, czując że mi włosy na głowie powstają:

Cóż to znaczy?... Zdaje mi się że już minęło sześć lat jak pan umarłeś?

— Przepraszam! odpowiedział sąsiad, nie sześć ale już siedm.

— Pamiętam, że byłem na pogrzebie pana.

— Być może. A pan kiedy raczyłeś umrzéć?

— Kto? ja? Zlituj się pan, ja jestem żywy!

— Jesteś pan żywy?... A to rzecz dziwna, bardzo dziwna! rzekł nieboszczyk, wzruszając ramionami.

Chciałem wstać, chciałem uciec; lecz nogi mi się podcięły, i jak przybity gwoźdźmi, zostałem nieruchomy na témże miejscu. W tém po całéj sali rozległy się rzęsiste oklaski, Lauretta w masce i czarnéj wenecjance zjawiła się na koncertowéj scenie. Za nią ciągnął się długi rzęd muzyków, ale jakich, mój przyjacielu!... Boże, co to za postawy! Żurawie szyje, z psiemi mordami, kadłuby bykoów z wróblemi głowami, koguty z nogami kozłów, kozły z ludzkiemi rękami, — słowem, żadna choćby najbujniejsza wyobrażnia, żadna najszaleńsza fantazja, nie tylko utworzyć lecz, nawet opisać już poprzednio widzianych podobnych straszy-

deł nie mogła. Osobliwie twarze ludzkie; były okropniejsze od innych, wszystkie zarysy tak były w nich nie wyraźne, że tylko kształt do ludzkich czaszek podobnemi je czynił. Gdy cała ta tłuszcza wysypała się za Lauretą na amfi-teatr, i kapelmistz z głową sowy, w biało upudrowanéj peruce usiadł na przygotowaném dla niego miejscu, zaczęto nastrajać instrumenta; większa część muzyków była niezadowolona ze swoich, lecz najbardziéj mruczał na to kontrabasista z niedzwiedzim ryjem. Chyba to jest pudło łubowe! ryknął, obracając swój instrument na wszystkie strony. Zlituj się Signora Balduci! czyż ja mogę grać na takim gracie? Lauretta milcząc wskazała na mojego sąsiada; kontrabasista, powstał z miejsca, wziął biednego Wolfa za szyję, i postawił na amfiteatrze.potém obróciwszy go głową na dół, jedną ręką objął obie jego nogi, drugą zaczął prowadzić smyczek po jego brzuchu, i mocne, pełne dźwięki kontrabasu zagrzmiały pod sklepem rotundy.

Nakoniec zgodziły się z sobą instrumenty, kapelmistrz podniósł w górę ogryzioną wołową

kość, która mu w miejsce pałeczki służyła, i cała orkiestra zagrała uwerturę *z zaczarowanego fletu*. Prawdę mówiąc, były czasami nie zgodne i dzikie akkordy, osobliwie klarynecista który dmuchał w swój instrument nosem, bardzo często fałszował; lecz bez względu na to, uwerturę nieźle odegrano. Po dosyć mocnym oklasku, wyszła Lauretta, i nie zdejmując maski, zaśpiewała zupełnie nieznaną mi arję. Słowa były bardzo dziwne: umierająca kochanka żegna się z ulubionym; śpiewała, że w nieograniczonéj przestrzeni i na zawsze, z każdą ubiegłą chwilą powiększa się rozdzielająca ich odległość; jak wieczność, będą nieskończone ich żądze, a ich dusze jak światło i dzień nigdy nie zleją się w jedną całość. Wszystko to było zamknięte w prześlicznym wierszu — a muzyka!... O, mój przyjacielu! nie znajdę wyrazów, dla opisania ci tego wrażenia, które zrobiła na mojém tęsknem sercu, gdy te czarowne i piekielne dźwięki wzruszyły powietrze! Niebyło w nich nic ziemskiego: lecz i niebo także nie odbłyskało w tym głosie pełnym łez

i łkania. Słyszałem i jęki wskazanych na wieczne męczarnie i zgrzytanie zębów, i szum bałwanów rospaczy, i ciężkie westchnienia wyrywające się z piersi spalonéj żądzami. Gdy wśród grzmiącego *crescendo* utworzonego z dzikich i sprzecznych dźwięków, Lauretta zatrzymała się, ogólne piorunujące brawo rozległo się po sali i kilka głosów odezwało się — Signora Balduci! signora Balduci! pokaż się nam, zdejm maskę! Lauretta była posłuszną, maska przy jéj nogach upadła—i cóż ujrzałem? Łaskawy Boże!.. Zamiast młodego, świeżego lica mojéj Lauretty, wyschłą głowę trupa!!! Oniemiałem z podziwienia i wstrętu, lecz za to inni widzowie wszyscy razem mówić zaczęli—powstał ogólny szmer. Ach co za piękność! krzyczano z zapałem: patrzcie jaka czaszka, jakby z kości słoniowéj!.. A twarz, twarz?.. Co za doskonałość!.. Ach, jak przyjemnie, wyszczerzyła na nas zęby!.. Jakie okrągluchne jamki, w miejscu oczów!.. To, piękność!

— Signora Balduci! rzekł Mozart, powstając z swojego miejsca: chciej nam zaśpiewać *Biondina in gondoletta.*

— Nie można, panie Mozart! przerwał kapelmistrz: kawatinę *Biondina in gondoletta* signora Balduci śpiewa tylko z gitarą, a tu nie mamy tego instrumentu.

— Mylisz się, *maestro di capella!* rzekła cicho Lauretta, wskazując na mnie. Oto jest gitara.

— Kapelmistrz rzucił na mnie swój bystry wzrok, otworzył sowi dziób i zaskrzeczał tak złowieszczo, że krew w moich żyłach zastygła.

— A co, w saméj rzeczy! rzekł. Dajcie mi go tutaj! Zdaje się... Tak jest!.. będzie z niego dobra gitara.

Trzech widzów porwało mnie i oddało w ręce kapelmajstra. W parę sekund, oderwał mi prawą nogę, obdarł ją ze wszystkich stron, zostawił tylko kość i suche żyły, nawiązał je jak struny. Nie zdołam ci opisać téj nie do zniesienia boleści, którą wznieciła we mnie ta niezwykła operacja, i chociaż moja prawa noga już był oderwaną, jednakże pomimo tego, gdy ten złoczyńca kapelmistrz zaczął ją nastrajać, czułem że wszystkie nerwy w mojém ciele wy-

ciągają się, i ledwie nie pękną. Gdy Lauretta wzięła z jego rąk moją biedną nogę, i kościane jéj palce, przebiegły po naciągniętych żyłach, zapomniałem o mojéj boleści: tak piękny i dźwięczny był ton téj nie zwykłéj gitary. Po małéj riturneli, Lauretta zaśpiewała półgłosem swoją kawatinę: nie raz ją słyszałem, lecz nigdy nie wywarła na mnie tak cudownego działania; zdawało mi się, że cały zmieniłem się w słuch, i co najdziwniéj, nie tylko moja dusza, lecz nawet wszystkie części ciała mojego, każda osobno, poiły się tą zachwycającą muzyką. Lecz najbardziéj tryumfowała druga moja noga, zachwycenie jéj doszło do najwyższego stopnia, każdy dźwięk gitary rodził w niéj jakieś nieopisanie przyjemne wrażenia, tak że na chwilę nawet nie mogła zostać spokojną. Wszystkie jéj poruszenia odpowiadały taktowi muzyki: na przemiany to poruszała nosek buta, to rzeźko podskakiwała, to zwolna się wznosiła.

W tém Lauretta wzięła fałszywy akord: ach mój przyjacielu, cała poprzednia boleść, niczém była w porównaniu z tém co mówiłem! Zdawało mi się

że głowa moja rozprysła się na części, że wyciągnięto ze mnie wszystkie żyły, że zaczęto mnie piłować tępym nożem... Ta piekielna męka nie mogła trwać długo; straciłem przytomność, i pamiętam tylko jak przez sen, że w téj chwil gdy mi się mroczyć zaczęło w oczach, któś zawołał: — Wyrzucić na ulicę ten złomany instrument! — A potém, rozległ się głośny śmiech i huczne oklaski. Przyszedłem do przytomności dopiero na drugi dzień. Mówią że znaleziono mnie, na placu przed teatrem; resztę sądzę że już wiesz dawno: w Paryżu cały miesiąc o tém mówiono.—Teraz mi się wszystko wyjaśniło: Laureta pokazała mi się po śmierci: umarła w Neapolu, a ja jak widzisz, mój przyjacielu, jestem jeszcze żywy, dodał z ciężkiém westchnieniem mój biedny przyjaciel, kończąc swoje opowiadanie.

*
* *

Cóż to za powieść? zapytał gospodarz, spojrzawszy z uśmiechem w około. Oj, panie

Remine, jesteś majstrem do opowiadania bajeczek!

— Zlituj się, panie Séjan, albož to bajeczka, to zupełna prawda!

— W istocie?

— Zapewniam pana, że mój przyjaciel wcale kłamać nie myślał opowiadając mi to okropne zdarzenie.

— Djabeł jest dosyć przemyślny, a jednak jemu nawet do głowy nie przyszłoby z człowieka zrobić kontrabas, a z nogi gitarę.

— Jeżeli mnie niewierzycie, to mogę was odesłać po świadectwo, do samego pana Ingres, on Bogu dzięki jeszcze żyje i mieszka w Paryżu nad samą Sekwaną.

— W żółtym domu? zapytał komendant.

— Tego panu nie mogę powiedzieć! mówił dalej spokojnie Remine, może go już teraz inaczej pomalowano.

— Ach, ty pustaku! przerwał gospodarz. Więc opawiadałeś nam to coś słyszał od warjata.

— Od warjata?.. No, tego jeszcze nie wiem Ingres nigdy mi się nie przyznał, żeby miał zwarjować, i przeciwnie, zapewniał mnie, że jeże

lekarze i nadzorcy w żółtym domu nie są obłąkani, to tylko z uporu i złości niechcą przyznać że on w miejscu prawéj nogi ma doskonałą gitarę.

— Patrzcie, co on plecie, a nawet się nie uśmiechnie! Przytém, dodał po chwili pan Séjan, twój przyjaciel musiał mieć powód jakiś, który mu rozum pomieszał! Lecz jeżeli w istocie ta bisurmanka, przychodziła z tamtego świata żeby go dręczyć?..

— I cóż pan myślisz? rzekłem. Nie wiem jak inni, ale ja przekonany jestem że po śmierci możemy czasem pokazywać się tym, których kochaliśmy za życia.

— Daj pokój, bracie, rzekł Merville; to byłoby u nas bez liczby tych przybyszów z tamtego świata.

— Przeciwnie, rzekłem: te przypadki są bardzo rzadkie... Przekonany jestem, że tylko tym przyjaciół możemy się pokazywać po naszej śmierci, do których przywiązani byliśmy nie z przyzwyczajenia, nie z rozsądku, nie z powinności, nie dla tego tylko że nam było wesoło z niemi, lecz z sympatji, z tożsamości dusz...

— Tożsamość dusz? przerwał Merville, a co ty przez to rozumiesz?

— Co rozumiem? Nie wiem czy ci to zdołam wyjaśnić przykładem; słuchaj. Każde muzyczne narzędzie, zawiera w sobie możność wydawania tonów, zupełnie tak, jak nasze ciało, możność życia i działania, i tak jak ciało bez duszy, każdy instrument bez pomocy artysty który właśnie jest jego duszą, jest martwy i nie może, a przynajmniej nie powinien sam przez się używać téj możności. Teraz, czy nie zechcesz zrobić doświadczenia, połóż na fortepianie, jaki bądź inny instrument, naprzykład, choć gitarę, i na jedną z jéj strun mały kawałek papieru, potém zacznij na fortepjanie uderzać we wszystkie klawisze jeden po drugim, papierek będzie leżał spokojnie, dopóki nie natrafisz na ton jednakowy z tym, który wydaje struna gitary. Wtenczas, gdy tylko dotkniesz klawisza, w téj chwili struna zadzwoni i papierek spadnie. Następnie przez jakąś niepojętą sympatję martwy instrument, odezwie się na głos żywego. Sprobój, mój przyjacielu, wyjasnić mi to zwyczajne i jak się zdaje fizyczne działanie, wtenczas może

ci, zdołam wyjaśnić, co rozumiem pod wyrazami—sympatja i tożsamość dusz.

— Widzę, rzekł Merville, że z ciebie okropny psycholog i metafizyk! O tém zupełnie nie wiedziałem. Teraz rozumiem. Dusza zmarłego człowieka, z duszą żywego, mogą się zgadzać między sobą tylko w takim przypadku, gdy obie są nastrojone na jeden kamerton.

—Ty żartujesz, Mervilu! przerwał komendant; a ja jestem przekonany że ten pan prawdę mówi. Ja sam wiem jeden przypadek, który potwierdza te domysły a ponieważ zajmujemy się obecnie podobną rozmową, więc pozwólcie sobie opowiedzieć nie bajkę, lecz prawdziwe zdarzenie. Może nie będziecie wierzyć, lecz przysięgam wam na honor, że to prawda.

* * *

W początkach 1702 roku, pułk dragonów w którym służyłem, stał w Prowancji; mój

szwadron zajmował kwatery w miasteczku należącém do dwóch braci, hrabiów L. Mieszkali oni z żonami swojemi w wspaniałym zamku. Przyjemność z jaką widzieli u siebie wojskowych i wesoły sposób życia, poszły w przysłowie u wszystkich.

Z oficerów mojego szwadronu, ja może najlepiéj ze wszystkich byłem przyjmowany i po trzech czy czterech tygodniach zostałem u nich prawie domownikiem. Obiedwie hrabiny były bardzo przyjemne, a nawet można je było nazwać pięknemi kobiétami. Gdyby to były rodzone siostry, to i w tenczas jeszcze dziwić się należałoby ich przyjaźni, i wzajemnemu przywiązaniu; lecz dwie kobiety, dwie gospodynie w jednym domu, które zdają się miéć jedną tylko duszę, jest to cud, który bardzo rzadko można widziéć. Nie można powiedzieć żeby ich obyczaje miały być z sobą tak bardzo zgodne, przeciwnie, jedna z nich, żona starszego brata, Józefina, miała charakter łagodny, a nawet cokolwiek zimny; druga przeciwnie, żywy i porywczy, lecz bez względu na tę różnicę, którą można było dostrzedz jedynie w ich po-

stępowaniu z innemi, nigdy najmniejszy gniew nie naruszył ich związków. Józefina bardzo często rozmawiała ze mną o téj przyjaźni.

— Nie zdołasz pan sobie wyobrazić, rzekła do mnie pewnego razu, jak dziwne, dla nas samych nie pojęte uczucie, łączy nas z sobą. Mówią, że my żyjemy, jak rodzone siostry, ale to jest zupełnie co innego; ja miałam trzy siostry, kochałam je, lecz zupełnie inaczéj. Gdy pierwszy raz zobaczyłam Kazimierę—tak się nazywała bratowa—zdawało mi się, że jéj tylko brakuje do mojego szczęścia; że dawniéj w chwilach dumania, nie znając ją jeszcze, o niéj myślałem i chociaż istotnie wtenczas ją po raz pierwszy widziałam, jednak gotowa byłabym przysiądz, że i rysy jéj twarzy i dźwięk jej głosu a nawet niektóre jéj tylko właściwe wyrażenia i nałogi, dawno mi już były znajome, że niewiem gdzie i kiedy, lecz pewno znałysmy się i kochałyśmy się wzajemnie. Nieprawdaż, że to jest rzecz bardzo dziwna? A nawet jeszcze bardziéj z tego powodu, że Kazimiera przy pierwszém spojrzeniu na mnie, uczuła toż samo. I cóż

czy niepowinnam wierzyć sympatji! Ile się razy zdarzało, że pomyślałem o jakiéjś nowéj zabawie, chciałem jej zrobić przyjemność, więc cóż: Ona układa sobie zrobieniemi podobnéj przyjemności skrywa to, ja się dowiaduję, zajmujemy się razem ułożeniem przyjemności, którą każda z osobna chciała drugiéj sprawić niespodzianie! Nigdy jeszcze nie rozłączałyśmy się i sądzę że rozdział, będzie dla nas kiedyś największém nieszczęściem. Mało do tego potrzeba! jedno z nas może umrzéć... O, nie wyobrazisz pan sobie, jak ta myśl nas przestrasza. Wprawdzie na tém świecie przedsięwziełyśmy niektóre ostrożności, mowiła daléj Józefina, uśmiechając się, to jest bez żartów: złączyłyśmy się przysięgą.

— Przysięgą?

— Tak jest. Przysięgłyśmy wzajemnie, że jeżeli los którą z nas zgładzi pierwéj z tego świata, i przy śmierci druga nie będzie, to zmarła musi koniecznie, pierwéj nim ziemię opuści zjawić się przed tą, która zostanie przy życiu.

— Czy pomyślałyście panie, rzekłem, także nie żartując, że wykonanie téj przysięgi nie od pań tylko zależy?

— A jakże! W tym celu przedsiewzięłyśmy pewne zaradcze środki. Powiadają, że każda przysięga, dana i nie dopełniona na tym świecie, cięży na duszy naszej, to jest, niedozwala jéj zupełnego używać szczęścia, jeżeli na nie zasłużyła, i dla tego przysięgłyśmy warunkowo.

— Warunkowo?

— Tak jest, warunkowo. Nasza przysięga będzie ważną, o tyle, ile możność dozwoli: — nous avons juré jusq'uaux bornes du possible.

— Gdy ona to mówiła, co wam teraz słowo w słowo powtarzam, nie mogłem się wstrzywać od śmiechu, — ta naiwna szczerość miłéj Józefiny zdawała mi się zabawną.

— Oho, hrabino, rzekł: pani znasz prawny porządek, i przedsięwziąłaś wszelkie ostrożności na przepisach oparte, każda z pań przy-

rzekła wypełnić warunki umowy, o tyle tylko, o ile będzie mogła.

— Smiéj się pan, śmiéj się; przerwała Józefina: a ja jestem przekonana, że jeżeli jedna z nas nie zakończy życia w objęciach drugiéj, to albo obiedwie umrzemy razem, to jest w jednéj godzinie, w tejże nawet minucie, albo też zobaczemy się niezawodnie z sobą przed rozstaniem się naszém na tym świecie.

Mąż hrabiny Kazimiery, cierpiał już od lat kilku słabość chroniczną, która pomimo zabiegów najlepszych lekarzy prowanckich, widocznie powiększała się, i mogła się zmienić w niepodobną do wyleczenia chorobę. Podług jednozgodnéj porady lekarzy, pozostał mu środek jeden tylko jeszcze, to jest jechać do stolicy, i zażądać pomocy od najbiegliéjszych lekarzy, osobliwie zaś od sławnego doktora Franka, który był w téj chwili w Paryżu. Jakkolwiek trudno było przyjaciołkom rozłączyć się z sobą na pewien przeciąg czasu, jednakże konieczność wymagała téj ofiary. Przy pożegnaniu, jeszcze raz ponowiły swoją przysię-

gę i zobowiązały się nie pomijać żadnéj poczty bez uwiadomiania się wzajemnego o wszystkiém je co obchodzić mogło.

Upłynęło już dwa miesiące, gdy w jednym z swoich listów Kazimiera donosiła swojéj przyjaciołce, że musi z chorym swoim małżonkiem i na dal jeszcze pozostać w Paryżu. Ta wiadomość bardzo zatrwożyła Józefinę:

Grassująca tam zgniła gorączka stawała się co raz groźniejszą, nie było prawie domu w którymby ktokolwiek nie stał się jéj ofiarą, i pomimo przedsięwziętych wszelkich środków ostrożności ze strony rzędu, wszyscy obywatele w największéj zostawali obawie. Naprózno Kazimiera zapewniała przyjaciółkę.

— Nie powinnaś się o nas obawiać, pisała ona, będziemy mieszkać za miastem, na swieżem powietrzu, a nawet tak daleko, jak tylko możność ciągłego dozoru lekarzy nad mężem moim dozwoli. Wszystko to jednak zdawało się Józefinie, nie dostateczną rękojmią ich bezpieczeństwa. Gorączka co raz bardziéj się rozszerzała, tysiące ludzi stawało się jéj ofiarą, nikt

nie był pewnym dnia jutrzejszego, a gdy go przeżył, znów drżeć o następny był przymuszony. Józefina o tém wszystkiém z innego źródła wiedziała i dla tego spokojną być nie mogła. Widząc niespokojność swojéj żony, hrabia L. dawał ciągle wieczory, bale, koncerty, — słowem, używał wszelkich środków posłużyć mogących do rozpędzenia jéj smutku. Na jednym z tych balów, na który zjechało się, przeszło dwieście osób, Józefina była smutniejszą niż zwykle.

— Jakże zdrowie pani? zapytałem, siadając przy niéj w sali balowéj.

— Dla czego? zapytała hrabina, czy ja się chorą wydaję?

— Jeżeli pani jesteś zdrowa, to niech mi będzie wolno powiedzieć że wcale pani nie zdajesz się być gospodynią tak świetnego balu. Patrz pani jak tu wszystko w sali jest ożywione: trzy mazury razem!... nawet podeszłe damy powstały, a pani wcale nie tańczysz. Trzeba bydź weselszą, bo inaczéj to ludzie pomyśleć gotowi, że pani nie jesteś z gości zadowoloną.

— Więc cóż? Niech sobie myślą co chcą, a mnie wcale nie wypada tańczyć!

— Pani mnie przestraszasz, hrabino! Czy nie nadeszły jakie nieprzyjemne wiadomości z Paryża, albo też może listy już dawno nie przyszły?

— Przeciwnie. Dziś odebrałam list od Kazimiery, a do tego bardzo przyjemny. Pisze ona że w Paryżu jest teraz bardzo wesoło; że pogłoska tylko wszystko powiększa. To powinnoby mnie uspokoić, lecz tymczasem nigdy nie byłam tak strwożona jak dziś.

— Z czegóż to może pochodzić?

— Sama nie wiem. Na sercu tak mi ciężko!... Tak mi smutno!... Pan powiesz że to brak wytrwałości, że to dziecińswo: być może, — lecz cóż robić, kiedy w nas jest cóś takiego co jest daleko silniejsze od rozsądku. Prawda że mogę się przymusić do wesołości, lecz to zawsze będzie przymus.

— A pani go nienawidzisz, hrabino. Jednak trzeba się przymuszać!... Słyszałem że ludzie

często tak się przejmują okoliczności że nie mogą wyjść z podziwienia, jak mogli zapomnieć rzeczywistości; może i pani zapomnisz o smutku, pierwszego walca przetańczysz pani niechętnie, a w drugim już znajdziesz przyjemność. Proszę!

— Hrabina podała mi rękę, zaczęliśmy tańczyć, a przy końcu balu, nie został nawet ślad dawnego smutku.

Po kolacji goście zaczęli się rozchodzić, sąsiedzi rozjechali się do swoich wiosek, a ci którzy dalej mieszkali, zostali na noc w zamku. W liczbie ostatnich było kilka młodych dam. Gospodyni, urządziła im nocleg w salonie, do którego i dla siebie łóżko wnieść kazała. Ja odszedłem do mojego pokoju, byłbym pewno przespał cały poranek, gdyby mnie nie zbudził nie zwykły rozruch w domu: wszędzie trzaskano drzwiami, biegano po wszystkich korytarzach, i gdybym był choć cokolwiek uczuł zapach dymu, byłbym pewny że nas pożar ogarnął. Zerwałem się na prędce, i pobiegłem dowiedzieć się o przyczynę zamieszania. Uwiadomiono mnie, że hrabina we śnie, czy na jawie

widziała cóś strasznego, i teraz z przestrachu nie może przyjść jeszcze do siebie, w parę godzin wszyscy goście rozjechali się, a o dziesiątéj przyszedł służący powiedzieć, że hrabina mnie prosi.

Już zupełnie odzyskała przytomność, siedziała w rannem ubraniu na kanapie, a gdy zapytałem o stan jéj zdrowia, odpowiedziała, że jest jéj zupełnie dobrze.

W istocie oprócz nadzwyczajnéj bladości na twarzy, nie okazywał się żaden więcéj ślad choroby; lecz jeden rzut oka na zapuchłe powieki; okazywał że bardzo wiele płakała.

— Usiądź pan tu, przy mnie, szepnęła cicho.

— Co się z pani stało, hrabino? rzekłem siadając na kanapie.

— Nic. Ja wiedziałam naprzód. O, serce moje przeczuwało! Ono mnie nigdy nie zwodzi...

— Ale, cóż to takiego?

— Widziałam ją.

— Widziałęś pani?... kogo?...

— Ją. Ona przychodziła pożegnać się ze mną.

— O kim pani mówisz?

— O mojéj przyjaciołce.

— O bratowéj?

— Tak.

—Cóż pani znowu? hrabino! To tylko chyba rozpalona wyobraźnia... pani tak wiele tańczyłaś, krew się w pani wzburzyła, i jaki bądź sen...

— Sen! powtórzyła ona z smutnym uśmiechem. Sen! Nie, ja nie spałam... Słuchaj pan, wszystko opowiem.

W ciągu jéj opowiadania, patrzyłem, czy nie dostrzegę śladu gorączki w jéj oczach; lecz oprócz cichego i spokojnego smutku, nic nie mogłem dostrzedz na jéj bladéj znużonéj twarzy. To co ona mi mówiła, było tak nadzwyczajne i zarazem takie mocne nosiło na sobie piętno prawdy, że słowa jéj wyryły się w mojéj pamięci, powtórzyć mogę jéj opowiadanie bez żadnéj zmiany, tak jakbym wczoraj je słyszał,

Gdy się już goście spać pokładli, zasnęła

mocno, po godzinie drugiéj z rana, zasypiając, przeciw zwyczajowi, nawet ani razu nie pomyślała o Kazimierze. Jak się późniéj domyślała, spała już przeszło od godziny, gdy w tém usłyszała cichy szelest i owionął ją jakiś przyjemny wiosenny chłód. Ocknęła się. W głowach jéj łóżka stała kobieta w białem ubraniu, bez żadnych ozdób. Twarz kobiety była przykryta białą zasłoną, stała ciągle w jedném miejscu i trzymała ręce założone na piersi.

W pierwszéj chwili przestrachu Józefina ani słowa nie mogła wymówić, a potém gdy chciała zawołać służące i zbudzić gości, biała dama zdjęła zasłonę i rzekła cichym głosem: Nie lękaj się moja przyjaciołko to ja! Boże mój! zawołała Józefina: to ty, Kazimiera? czy podobna? Kiedy przyjechałaś? Podniosła się żeby uścisnąć swoję bratowę; lecz Kazimiera cofnęła się o krok, i wyszeptała ledwie słyszanym głosem.

— Nie zbliżaj się do mnie, Józefino! Jeszcze nie nadszedł czas, w którym będziesz mogła mnie uścisnąć. Przyszłam pożegnać się z tobą. — Pożegnać się?

— Tak jest! czyżeś zapomniała o naszéj przysiędze? Teraz dopiero Józefina przypomniała sobie wszystko: i, jak myślicie czy się jéj przelękła? albo przynamniéj zmartwiła się wiadomością o jéj śmierci? lub też zalała się łzami?... Nie! nie czuła ani przestrachu ani smutku i jeden i drugi późniéj dopiero ogarnęły jéj duszę, a w tej chwili była zupełnie spokojna. Więc, moja przyjaciołko; umarłaś? zapytała Kazimiery. Tak jest. Umarłam w Paryżu w skutku panującéj choroby.—Powiedz mi moja przyjaciołko, czy to jest okropna śmierć? — Tylko tak jak jest straszny dla ślepego od urodzenia, pierwszy widok słońca i jasnych niebios.

— Ach! ostatnia chwila musi być bardzo przykra!

— Tak, moja przyjaciołka Ostatnia chwila przykra, lecz za to pierwsza!.. Nieruchome oczy zjawiska, ożywiły się.

— I cóż z nich wyczytałem!.. rzekla Józefina, płacząc. O jak znikome jest to uczucie, które my chwilowi goście ziemi, nazywamy radością i szczęściem!

— Musięmy się rozstać, rzekła mara, bądź zdrowa Józefino; do widzenia, tam, na łonie naszéj rodziny!.. Zaczekaj, moja przyjaciołko, zawołała Józefina. Powiedz czy wiesz z pewnością że się znów zobaczemy?—O, nie wątpię o tém! Posłuchaj!.. Tu cień Kaziwiery nachylił się i szepnął kilka słów do ucha swojéj przyjaciołce.

Potém mówiła dalej Józefina, oczy mi się zamknęły, zdawało mi się, że nade mną rozlegały się tak nieopisanie przyjemne dźwięki, że albo znowu zasnęłam, albo straciłam przytomność, a gdy się obudziłam, już wszystko znikło.

— A co pani powiedziała do ucha zmarła? zapytałem ciekawie:

— Nie pytaj mnie pan o to! przerwała Józefina. Te słowa umrą—tak one powinny umrzeć wraz ze mną.

Chociaż ciągle prosiłem, ażeby mi odkryła tajemnicę—lecz wszystko napróżno. Uważałem to tylko, że za każdym razem, gdy z nią o tém mówiłem, zaczynała płakać, lecz jéj łzy nie były łzami smutku.

Po kilku dniach w gazetach paryskich pomiędzy zmarłemi na zarazę, czytałem nazwisko Kazimiery.

* * *

Komendant zamilkł. Słuchałem z wielką uwagą jego opowiadanie, to jednak nie przeszkodziło mi dostrzedz że Merville i Remine rozmawiali z sobą po cichu, że ostátni spojrzał na swój zegarek i w tymże czasie gdy nasza uwaga zwróconą była na opowiadającego, wyszedł z gabinetu.

— No, kuzynku, rzekł z uśmiechem gospodarz, což ty na to powiesz?

— Gdyby ten pan niebył naocznym świadkiem tego zdarzenia, to powiedziałbym że to jest tylko powieść.

— Ale teraz, co powiesz?

— Teraz powiem, że to dziwne zdarzenie, po-

chodzi ze zbiegu okoliczności, że jest nadzwyczajnym przypadkiem, i nic więcéj.

— Jakto nic?

— Rozumie się; sen który widziała Józefina nie jest czém innem jak dalszym ciągiem tego, o czém ciągle myślała na jawie, i gdyby Kazimiéra powróciła zdrową z podróży, to o tym śnie w krótce zapomnianoby, jak o tysiącu podobnych snów, o których nikt ani słowa nie wspomina dla tego, że się nie zjściły.

—Dobrze bracie, ale przynajmniéj widzisz że się może sprawdzić.

— Cóż w tém dziwnego, że jeden z miljona nic nie znaczących snów się sprawdzi! Naprzykład gdyby żona oficera od floty, bardzo tęskniła po mężu będącym na morzu, to jéj zapewnie nie razby się, śniło że utonął. A gdyby go na prawdę kiedy pochłonęły bałwany, to w tenczas powiedzielibyśmy, że miała przepowiednią we śnie.

— Lecz słyszałeś, że nie we śnie, ale na jawie Józefina widziała przyjaciołkę.

— Tak jest, jéj się zdawało, że nie spała. A

nawet zgadza się że na jawie zdarza się nam widzić przedmioty, które istnieją tylko w rozpalonéj wyobraźni naszéj? Sprobójcie panowie, czuwać przez kilka nocy, a zobaczycie na jawie takie nadzwyczajności, o którychby może wam się nigdy nie śniło. Zapytajcie się oto kurjerów, którzy jeżdżą dzień i noc, nie mając czasu zasnąć ani na chwilę. Ja sam widziałem raz na gościńcu osadzonym z obu stron lipami, szeregi pysznych pałaców, a zdawało mi się że nie spałem, a nawet żeby nie zadrzémać i nie wypaść z powozu, śpiewałem piosnki i ciągle rozmawiałem z woźnicą. Czy wiecie, do jakiego stopnia może czasem oszukać nas, przyzwyczajona do nadzwyczajności wyobraźnia? Naprzykład, teraz jest ciemna, jesienna noc; wiatr wieje, północ się zbliża, a my już od trzech godzin przeszło opowiadamy sobie wzajemnie straszne powieści. Przekonany jestem, że teraz każdy z nas, nie wyłączając mnie, daleko bardziéj niż zwykle przygotowany jest do przestrachu, i jest daleko łatwowierniejszym, niżeli kiedykolwiek. Nagły łoskot, niespodziewane zjawienie jakiego nowego gościa, skrzypnienie

drzwi, mocniejsze zadęcie wiatru, — słowem wszystko może nas strwożyć, i okazać się nadzwyczajném; i gdyby w téj chwili jak mówię z panami, zbliżył się kto zewnątrz, i zajrzał oknem, to bez wątpienia najpospolitsza twarz zdawałaby nam się nadludzką.

— Komu też przyszłoby na myśl, przestraszać nas, przerwał gospodarz, z uwagą oglądając się w około.

— Co za dziecińdstwo, rzekłem, spojrzawszy mimowolnie na okna.

— Nie, nie dziecińdstwo, mówił daléj Merville: przez jakąś wrodzoną skłonność wierzemy w nadzwyczajność, i chociaż bojaźń nie jest przyjemném uczuciem, jednak lubiemy zimny dreszcz, który przechodzi po nas od głowy do nóg, wtenczas, gdy nam się zdaje że widziemy cóś nadzwyczajnego, a niech tylko wyobraźnia obejmie władzę nad rozsądkiem, gotowi będziemy wierzyć we wszystko, lękać się wszystkiego i jak w silnéj gorączce, chociaż mieć będziemy zarazem fizyczne siły w tém samém jak zwykle stanie, jednakże pomimo tego, będziemy widzieć,

słyszéć, a nawet czuć wszystko. Ale oto, zdaje mi się że już północ!...

W téj chwili na wieży zaczął bić zegar...

— Jak okropnie rozlega się ten dzwięk! mówił daléj Merville, licząc uderzenia godzin Pięć.., sześć... Wszak prawda że w tym dźwięku jest cóś grobowego, złowieszczego? Ośm... dziewięć... Jak on się ponuro rozlega. Jedenaście!.. Dwanaście!... Boże!... Patrzcie, patrzcie!... Co to jest?

Ja krzyknąłem, Larache puścił fajkę na podłógę. Komendant i gospodarz zerwali się z miejsc swoich, i oczy wszystkich, w kierunku ręki Mervilla zwróciły się na jedno z okien gabinetu.

Cóżby to być mogło?zawołał gospodarz.Co on widzi? Nie wiem jak wy panowie, bo co ja to nic nie widzę.

— I ja także, rzekł Laroche, podnosząc fajkę.

— Ach, ten trzpiot! przerwał komendant z głośnym śmiechem, jak on nas wszystkich przestraszył! Oho, z ciebie braciszku, jest

sławny figlarz! mówił daléj komendant obracając się do Mervilla. Dosyć, dosyć, daj pokój! — już nas nie oszukasz.

Spojrzawszy na mojego przyjaciela: dostrzegłem że to nie był żarcik! Jego nieporuszony obłąkany wzrok, skierowany był do jednego punktu, na jedno z okien gabinetu: wszystkie jego członki drżały, włosy mu się zjeżyły, a na zmartwiałéj twarzy dostrzedz można było nieopisany przestrach.

— Cóż to mój przyjacielu? zapytałem, zbliżając się do niego. Co się z tobą stało?

Mervile nie odpowiedział ani słowa.

— Daj mu pan pokój! rzekł komendant. On teraz jest na scenie, i tak mu się podobała jego rola, że nie chce jéj porzucić.

W tém dały się słyszéć spieszne kroki, drzwi otworzyły się, i wszedł Remine.

—Fi, bracie! Tak mnie przestraszyłeś! rzekł Merville, siadając na kanapie. Ledwie mogę odetchnąć!

— Ja ciebie przestraszyłem? powtórzył Remine.

— Tak jest, ty.

— Czém że?

— Jakto czém? Mówiłem ci, ażebyś gdy zegar bić będzie północ, zajrzał do nas oknem; lecz nikt cię nie prosił, ażebyś się obwijał w prześcieradło i włożył kobiecy czepek na głowę.

— Kobiecy czepek?.. Cóżto, czyś rozum stracił?

— Otóż!.. zapieraj się jeszcze!

— Zlituj się, bracie! nawet za próg domu nie wyszedłem!

— Co mówisz?

— No, tak. Gdy wyszedłem pod wystawę, zobaczyłem że deszcz leje jak z wiadra, nie gniewaj się, ale nie chciało mi się zmoknąć do do nitki, dla tego, żeby dla twojéj zabawy wypłatać figla, za który i małe dzieci biją.

— I nie zaglądałeś do nas przez okno?

— Nie.

— Słuchaj, Alexandrze! zawołał Merville zbladłszy znowu, niegodzi się tak żartować.

— Jakto żartować? Co się z tobą stało?

— Powiedz prawdę; ja tego koniecznie wymagam.

— Jeżeli nie wierzysz mnie, to idź do przedpokoju i zapytaj służących. Powiadam ci, że nie tylko do was niezaglądałem w okno, lecz nawet za próg niewychodziłem. Słyszysz jaki deszcz leje?...Gdybym był na dworze, byłbym przemokł do nitki, a oto, patrz!... Dotkniéj się mojego surduta!.. No, co, czy byłem na deszczu?

Przyjaciel mój zamilkł.

— Czy istotnie widziałeś co takiego? zapytałem półgłosem.

— Ścisnął mi mocno rękę i powiedział cicho przerywanym głosem.—Tak, mój przyjacielu!.. widziałem...O, gdybyś widział co ja widziałem!

— No, cóż takiego?

Merville nie odpowiadając na moje pytanie, i jakby mówiąc z sobą samym, rzekł: Dziś zdaje mi się sobota...Tak! dziś pewno sobota.

— Dziś już Niedziela; północ biła. Lecz powiedz mi.

— Nie, mój przyjacielu. Może to tylko złudzenie oczu... Mogło mi się zdawać... Lecz w tak żywych kolorach widziałem...przydał, spojrzawszy z mimowolnem drżeniem na środkowe o-

kno gabinetu: oto tu!... prosto, przede mną!...

— O czém wy moi panowie tak cicho rozmawiacie?

— To nic rzekł Merville, starając się uśmiechnąć.

— Już znów jakaś namowa, chcecie nas przestraszyć! rzekł komendant. Nie potrzebujécie się nadaremnie trudzić! Nie wiem, jak inni, lecz za mnie zaręczam, dwa razy się nie przelęknę.

— Nie ręcz! przerwał gospodarz. Gdybyś znał historję mojego domu i wiedział co się kiedyś zdarzyło w tym samym pokoju, w którym teraz siedziemy, to pewniebyś się tak nie przechwalał z swoją odwagą. Ja już dawno tutaj mieszkam i Bogu dzięki żadnych okropności nie widziałem, a jednak mróz mi przechodzi po plecach, gdy sobie o tém przypomnę.

— Opowiedzże nam to zdarzenie, odezwał się komendant, już dawno pragnę poznać po szczególe okoliczności towarzyszące nocnym najazdom o których tak wiele w naszém mieście mówią, na to jedno bowiem tylko wszyscy się zgadzają, że ta powieść zasadza się na jakiems prawdziwém zdarzeniu.

— A dla czego nazywasz pan to podanie powieścią? zapytałem komendanta.

— Dla tego, że wcale nie jest podobne do prawdy.

— A to co nam pan przed chwilą opowiedałeś, czy to jest historyczne? zapytał Remine z uśmiechem.

— O, to co innego! Zjawienie się zmarłéj,— to połączenie pierwiastków, ta harmonja dusz, zasadza się na pojęciach naszych o organizmie., to jest o wewnętrznéj możności moralnego istnienia, które będąc zarazem w związku z wewnętrznemi akcjami życia..i z fizycznym...czyli, że tak powiem z rzeczywistym światem...lecz może panowie mnie nie rozumiecie?

— Śmiej się, śmiéj przerwał komendant O, człowieku światowy! ty tylko temu jednemu wierzysz, że dwa razy dwa, cztery.

— A ty chciałbyś, żeby dwa razy dwa było pięć?

— Co, z tobą mówić! Opowiedz nam lepiéj panie Séjan, tę straszną historję, która jak pan powiadasz strachem każdego przejmuje.

— Czy tylko nie późno, panowie! rzekł gospodarz.

— Chciéj ją pan jeszcze opowiedziéć, rzekłem; ja jutro muszę się z panami pożegnać; a więc może nigdy jéj nie usłyszę.

— Niechże tak będzie! tylko jeżeli zaczniecie poziewać, to proszę przypomnieć że to już po północy i że wszyscy powinniśmy zabierać się do spoczynku. No, słuchajcież, panowie.

* * *

Za dawnych czasów folwark ten należał do pana Demare po śmierci którego ja go kupiłem, mówią, że drogo, mnie się zaś zdaje że prawie na pół darmo, dodał pan Séjan, rzuciwszy wzrok na okno z którego widać było kościoł i cmentarz parafialny. Ten pan Demare słynął w swoich czasach, mówił daléj, nie tak rozsądkiem i zręcznością lub odwagą, jak raczéj przewrotno-

sią, codziennemi grabieżami i rozbojami, a co najgorsza, okrzyczany był za czarnoksiężnika żyjącego w przyjaźni z szatanem. Przez dziesięć lat mieszkał on w téj wiosce jak drapieżny zwierz na rozstajnych drogach. Kiedy udawał się z swojemi ludźmi na polowanie, lub pływał po rzece łódką z białemi żaglami, wówczas wszysy okoliczni włościanie i biedna szlachta drżeli że strachu, kryli się po lasach i uprowadzali bydło o dwadzieścia staj. Ale jakimże to ty wzrokiem poglądasz na mnie panie Remine? Zapewne pomyślałeś. Otóż jaką nam nowinę przynosi! od czegóż są nasi urzędnicy, policja?..Ale przypomnij sobie mój kochany, że to były czasy nie dzisiejsze, chwile zamieszek, pełne najazdów, rozbojów...a zatém pora przyjazna dla rozbójników, mogli się nacieszyć, a kto się Boga nie bał, na tego nie było sądu. Nie można się przeto dziwić że ów bezbożny Demare, robił co chciał, napadał na podróżnych po wielkich gościńcach, mordował i topił w rzece, przymuszał sąsiadów do oddawania sobie daniny i trzymał w jeżowych rękawicach Mera poblizkiego miasta, który nie śmiał się ani pokazać w tych stronach. W miejsce

starych drewnianych chatek, wybudował on te murowane gmachy, opasał szerokim wałem, wystawił kilkanaście domków i klitek dla swoich dworzan, — słowem z małéj zagrody, zrobił tak piękną osadę, że przed nią miasto wasze panie komendancie przedmieściem nawet być nie mogłoby. Lecz za to większa część jego włościan mieszkała w chatach z ziemi, kościoł parafialny zupełnie się obalił, a dzwonnica w czasie silnego wiatru, jak stary gołębnik skrzypiała i chyliła się na wszystkie strony.

Denare miał jedną tylko córkę: która jeszcze w dzieciństwie została sierotą. Zmarłą swoję żonę nienawidził za to; że mu wydała córkę a nie syna: obchodził się z nią srogo, a po pijanemu bił bez litości. Że zaś ani w Wielki Piątek nawet nie wstrzymywał się od użycia trunków, nie było zatem dnia, żeby żona jego nie odbierała razów, a tak, w ciągu sześciu miesięcy od powicia córki dostała suchot i śmiercią uwolniła się od okrucieństwa swojego męża. Od téj chwili minę-

ło lat piętnaście. Biedna sierota rosła i rosła' a chociaż wychowanie jéj było zaniedbane, ona jednak, jak kwiat polny który strzeże i zrasza ręka opatrzności, nabrała tyle wdzięków, że nawet ojciec jéj, jakkolwiek dziki, nie mogł na nią spoglądać bez przyjemności.

Kilkakrotnie okoliczna szlachta i Mer nieboszczyk probowali znieść rozbójników, lecz Demare za każdym razem dawał tak silny odpór, ż na długi czas tracili chęć mierzenia się z nim na nowo. — Jednego razu zdołali zebrać do pięciuset ludzi, strzelców i uzbrojonych chłopów; sądzili że z taką siłą będzie im łatwo nie tylko wziąść żywcem herszta z całą jego bandą, lecz nawet i osadę zburzyć do szczętu: ale rzeczy wzięły inny obrot. Demare spotkał ich na wielkim gościeńcu, z swoją drużyną, w któréj zaledwie piędziesięciu ludzi można było liczyć, a którą przeciwnikom zdawała się niezliczoną zgrają. Włościanie przejęci trwogą zaczęli uchodzić; strzelcy z początku byli śmielsi, lecz gdy ujrzeli że od Demare kule odskakują, i kopje o niego się kruszą, tak

się przelękli, iż podobnie jak pierwsi uciekać zaczęli. Demare ze swoim hufcem ścigał ich aż do bram miasta, wpędził na błota i wyrznął większą połowę, sam zaś powrócił do swojéj jaskini, nie straciwszy ani jednego człowieka. Po takiém zdarzeniu, nie tylko okoliczna szlachta, ale i Mer stracił odwagę. Nie było co robić, trzeba było się poddać okolicznościm i wyglądać pomyślnéj chwili. Jedno tylko w świecie przejmowało strachem Demare: ten rozbójnik którego nic zastraszyć nie zdołało, ten złoczyńca i czarnoksiężnik, bał się jak sądzicie, czego? rzecz godna śmiechu!... Na śmierć bał się czarnego kruka. Od rana do wieczora chodzono do koła domu i osady z nabitemi strzelbami, a komu się poszczęściło zabić tego ptaka, niósł go prosto do pałacu i za to brał dwa srebrne pieniądze i kosz wina.

Przyczyna téj niepojętéj obawy długi czas była dla wszystkich zagadką, lecz jak wszystko na świecie wyjawia się w końcu, tak i to podobnéj uległo kolei. Oto co przez ustne podania doszło do nas. Demare był istonie czarownikiem, i trząsał szatanem jak swo-

im chłopcem. Lecz przecież zły duch darmo nic nie robi: poddał mu się — lecz z tym jedynie warunkiem, aby na wzajem dał na swoję duszę ceregraf, który opiewał, że na tym świecie djabeł będzie mu we wszystkiem posłuszny, ochroni go od ognia, wody, miecza, i wszelkiego innego oręża, a nawet sam nad nim nie będzie miał żadnéj władzy, dopóty, dopoki czarny kruk nie znajdzie przytułku pod jego strzechą i nie uściele gniazda, aby mieszkać razem z białą jego gołębicą. Teraz i wy łatwo się domyślacie dla czego Demare nie oszczędzał kruków i dla czego bladł i drżał za każdym razem, kiedy ten ptak drapieżny pojawił się nad jego domem.

Z pomiędzy swéj czeladzi, Demare lubił szczególniéj jednego młodego chłopca, który się zwał Sokołem, prawdziwie był to smiały chłopiec i zdałby się na jakiego przywódcę znamienitego..... Jego ułożenie, czarny lśniący się wąs, wzrost i siła, wszystko to znamionowało w nim bochatera, —nikt nie wiedział zkąd on był rodem. Raz pod czas burżliwéj jesien-

néj nocy, przybył ów Sokół sam jeden na pysznym angielskim koniu, wszedł bez zameldowania do pokoju pana Demare; oznajmił mu, że go zowią Andrzejem Sokołem; że jest mieszczaninem z Beaumonte; że mu się sprzykrzyło służyć ludziom, i że dowiedziawszy się o wesołém życiu w tych stronach, przyjechał do niego umyślnie dla ofiarowania mu swoich usług. P. Demare przyjął go w grono swoich bliskich dworzan, w ciągu kilku miesięcy do tego stopnia polubił, iż postanowił wydać za niego swoją jedyną córkę.

Na trzy tygodnie przed ślubem córki, będąc na polowaniu powziął nagle zamiar zobaczyć swojego przyjaciela pana Marson, który podobnym jak on trudnił się rzemiosłem, a że nie lubił nic odkładać na późniéj, kazał więc uwiadomić Sokoła, że mu porucza na czas niejaki swój dom, i nie mówiąc nikomu gdzie jedzie udał się wprost z pola w towarzystwie dwóch, lub trzech ludzi do włości swego przyjaciela. Te niespodziane odwiedziny uciesżyły bardzo pana Marson, dał więc ucztą na któréj od rana do wieczora pili, jedli, chłodzili się, śpie-

wacy krzyczeli na całe gardło, wieśniaczki i panny dworskie grały w różne gry przed oknami, słowem przez cały ten dzień na dworze pańskim wszyscy tak byli zajęci zabawą, że kiedy wieczorem uderzono w dzwony, nikomu nie przeszło przez głowę nawet, że się już zmierzchło. Po wieczerzy Marson zaczął przechwalać swoją odwagę i opowiadał, jak na wielkim gościńcu wstrzymał pochód całego obozu i wyprzągł z wozów sześć najlepszych koni; jak wśród białego dnia wyciął las swojego sąsiada i przez całe lato pasł swoje stada na cudzych polach.

— No, jest się czém poszczycić! rzekł Demare ująwszy się pod boki. O ty biedny bohaterze! Udało ci się wyprządz sześć klaczy z wozów, narąbać drew w cudzym lasie i uszczknąć trawki u sąsiada i to u ciebie śmiałość? Nie, mój kochany, my nie takie uciechy sobie czyniemy; wyjeżdżamy na spacer, a jak się zagrzeje krew w młodzieńczych żyłach i rozrusza ją się ręce zwycięzkie, to za sobą nic nie zostawiamy, czysto jak na dłoni! Zabiera my wszystko co w ręce wpadnie, dusiemy każ

dego kogo spotkamy! Otóż to nie tak jak wy, na gościńcu nie biedziemy się lada z kim, z kupcem nie targujemy się, ale jak napadniemy całą rodzinę mieszczan, to w mgnieniu oka sąd i exekucja: starą matkę w wodę, braciszka w łeb, ojca na osinę, a córkę na pański dwór: otóż to śmiałość!..Ale mój kochany, u mnie w krótce będzie przez całe dwa tygodnie wielkie wesele,— uczta nie pospolita—wydaję za mąż córkę. Będziesz łaskaw, zaszczycić mię swoją bytnością na weselu i przyjąć obowiązki starszego drużby mojéj Barbary—a tam będziemy mogli zrobić sobie małą przejażdżkę na gościniec; zobaczysz na własne oczy i opowiesz twoim przyjaciołom, jak u nas weselą się poczciwe chłopcy. Gospodarz przyrzekł przybyć, a Demare po trzytygodniowém goszczeniu, odjechał szczęśliwie do domu.

Jeden już tylko dzień przedzielał chwilę zaślubin.—Bezbronna córka pana Demare gorzkiemi zalewała się łzami: była to pobożna i spokojna dziewica i drżała na samo wspomnienie że zostanie żoną obmierzłego zbójcy Sokoła.

Przez trzy noce biedna sierota modliła się przed świętym obrazem, bo w dzień nie śmiała ani płakać ani się modlić.—Okrutny Demare przyrzekł zabić ją własną ręką jeżeli na jéj czole dostrzeże cień smutku lub niechęci, wówczas gdy kapłan dopełniać będzie obrzęd ślubny. Nadszedł wreszcie zapowiedziany dzień ślubu; odśpiewano jutrznią, uderzono w dzwony, a Marson nie przybywał. Otóż i pora obiadu minęła, a starego drużby jak nie ma, tak nie ma. Powiedziałem wam już, że Demare nie lubił nic odkładać i kiedy dzwony obwieściły wieczorną modlitwę, zawołał prawie w szaleństwie: „Nie chcę czekać na drużbę! Idźcie do ślubu!“ I długi powóz przeciągnął z dworu do kościoła. Modlitwa wieczorna skończyła się, a obrzęd się rozpoczął. Stojąc przed ołtarzem obok przyszłego małżonka i pana, na-wpół martwa sierota kryła swoje łzy, starała się uśmiechać i cichym lecz pełnym stałości głosem, odpowiedziała na zapytanie kapłana; słowem wszystko szło w porządku, a bez względu na to, starcy potrząsali głową. „Ech! nie dobra wróżba!“ szeptały między sobą wszystkie damy dworskie i pokojowe dziewczęta.

I było czego się lękać: świeca, którą trzymała panna młoda, jaśniało żywém i czystém światłem; ale ta z którą stał Sokół, gorzała ciemno, dymiła się jak pochodnia, i bez żadnéj przyczyny, trzy razy raz po raz gasła...

— Kiedy obrząd ślubny był skończony, Demare nowożeńców wyprowadził spiesznie z kościoła, i powóz ruszył ku dworowi.

— Co to tam za szelest w dali? zapytał Demare, siadając na konia. Czy to nie nasz gość przybywa?

— Bynajmniéj, panie! odrzekł jeden ze służących. Nie z téj strony trzeba nam gości wyglądać. Zdaje mi się że słyszę tentent za wilczym pagórkiem.

Wy, panowie, zapewnie wszyscy znacie ten pagórek, mówił daléj pan Séjan, obracając się do swoich gości, teraz go nazywają powszechnie szatańskim wybrzeżem. Był on dawniéj główną kwaterą bandy pana Demare i cmętarzem wszystkich podróżnych zamordowanych przez rozbójników na gościeńcu.

— To tu o ćwierć mili od pańsk!ego pałacu? zapytałem.

— Nie, nie ma więcéj jak tysiąc kroków, odpowiedział gospodarz i otóż, mówił daléj młodzież zasiadła do uczty, puchar zaczynał przechodzić z rąk do rąk, wszyscy pili i żartowali, sam tylko Demare siedział zmarszczywszy brwi i z niespokojnością przysłuchiwał się szelestowi, który co raz mocniéj dawał się w odległości słyszéć. Otóż już północ minęła. Drzwi na oścież otwierają się i od dawna oczekiwany gość wszedł do sali jadalnéj.

— Jak się masz przyjacielu! zawołał gospodarz zerwawszy się z za stołu i idąc kilka kroków na jego spotkanie. Jużeśmy cię oddawna czekali.

— Przebacz mi mój drogi! z domu wyjechałem bardzo wcześnie, lecz tu w bliskości musiałem się zatrzymać. Wyobraź sobie, i pode mną i pod mojemi ludźmi konie ani ruszyć się z miejsca nie mogły; zostawiłem więc moich ludzi na polu a sam piechotą tutaj przychodzę. Lecz cóż to? czyż się jeszcze gości spodzie-

wasz?... Tam na prawo za lasém taki szmer, szelest, hałas, że nic słyszéć nie można.

— Nie spodziewam się żadnych gości, odpowiedział Demare niespokojnie oglądając się wokoło...

— Pozwól, kochany wuju! przerwał Merville, czy słyszysz jaki to hałas powstaje na dworze.

— Widać się wicher rozigrał, rzekł pan Sejan spojrzawszy na okno. Jak u nas wiatr powstaje to w całym domu taki łoskot, że zasnąć nie można. Lecz nie przerywaj mi kochany siostrzeńcze!... Ale cóż to, coraz mocniejsay szelest, burza zawiele sobie pozwala. Zaprowadź że mnie do państwa młodych.

— Oto są, proszę ich kochać tak jak mnie samego, rzekł gospodarz zbliżając się z swoim gościem do stołu, za którym siedzieli nowożeńcy.

— A toż co, zawołał Marson cofając się z podziwieniem... czy żartujesz ze mnie?... to ma być twój zięć dodał wskazując na sokoła, który zbladł jak ściana.

— Tak jest!... Lecz czemuż się się tak dziwisz?

I ty wydałeś za niego swoją córkę.

— Więc cóż z tego? Ten młodzieniec pochodzi z dobréj familji i choć nie bardzo bogaty...

—Zapewne, z dobréj familji.. przerwał z głośnym śmiechem, jego matka była żebraczką a ojciec Sabaudczykiem.

— Kłamiesz! zawołał Demare.

— Jeżeli kłamię, dla czegóż twój kochany zięć nie wymówi ani słowa? czy on mowę utracił.

W istocie Sokół siedział jak skazany na śmierć, nie tylko nie wymówił ani słowa; lecz nawet nie śmiał oczu podnieść na swojego teścia.

— Nie wiem wreście jak ci się jego familję uważać podoba, ale wiem tylko, że za moich czasów w obozie nie było lepszego konowała, ani zręczniejszego złodzieja..

Przez chwilę Demare milcząc patrzył na swojego zięcia: w tém oczy mu się zaiskrzyły i rzekł mocnym głosem: wcale mnie to nie obchodzi!

teraz jest moim zięciem, jeżeli kto się poważy obrazić Sokoła!...

— Alboż on sie nazywa Sokołem? zapytał.

— Tak jest.

— Jeżeli tak, to proszę przebaczyć; mówił daléj Marson, kiedy wkradł się do twojego domu, rozumie się że powinien się był przezwać i dla tego z kruka, zrobił się Sokołem.

— Z kruka? krzyknął Demare.

— No, tak, teraz nazywacie go sokołem, a za naszych czasów nazywano go prosto czarnym krukiem.

— Czarnym krukiem?! powtórzył okropnym głosem gospodarz.

Oczy obecnych mimowolnie spojrzały na Demare, wszyscy ze drżeniem oczekiwali rozwiązania. W tém zawył wiatr, świece pogasły, a nad kominem odezwał się głos,, Demare! czarny kruk zamieszkał pod twoim dachem! — ,,I uwił sobie gniazdo, żeby się połączyć z twoją białą gołębicą, ,, miauknął łaciasty kot wyglądając z' za pieca. ,, Demare wyjdź przed

dom i przyjmuj gości „odezwał się głos za oknem.

W tém wręku Demare błysnął szeroki nóż, i Sokół upadł martwy na ziemię. Morderca wybiegł ze stołowego pokoju i przyszedł do tego gabinetu w którym my teraz siedziemy; oprócz niego nikt tu nie wchodził. Porwał wielką księgę w czarnéj oprawie i chciał ją otworzyć — lecz nie mógł. Żelazne sprzączki tak się zacięły, że książki otworzyć w żaden sposób nie można było. Pod łóżkiem, we wszystkich kątach, dał się słyszyć taki szyderczy śmiech, że czarodziejska książka wypadła z zmartwiałych rąk jego. Niebo okryło się chmurami i od tego czasu zaczyna się ten nocny zjazd, który podług opisu starców co dwadzieścia pięć lat w tymże dniu i godzinie słyszeć się daje w tym domu. Na drodze od wilczego pagórka,pokazali się nie proszeni goście; w koło nich ryczała burza, a od końskich kopyt całe pole trzęsło się jak błotnista łąka. Przed wszystkiemi jechał na koniu w białéj

odzieży zamordowany przed dopiero co odbytym ślubem kupiec, a za nim ciągnął się długi szereg trupów z przerzniętemi gardłami i z rozbitemi czaszkami—i przy świetle krwawego księżyca nie można było dojrzeć końca tego straszliwego wojska. Ofiary zbrodni gospodarza zbliżyły się do dworu, z trzaskiem otworzyły się drzwi.

* * *

P. Séjan zamilkł.

— Lecz cóż to, zatrzymujesz się pan? zapytał jeden z gości.

— Czekajcie. Cóż to jest?... Czy słyszycie?.,.

— Tak! rzekł Laroche to już nie wiatr wieje.

Wszyscy zaczęliśmy słuchać—łoskot, świst, śpiew i głośne rozmowy łączyły się z szumem wiatru, czasami można było nawet rozróżnić turkot powozów po nierównéj drodze i tentent kopyt końskich.

— Ktożby to jechał tak późno? rzekł prawie z trwogą gospodarz. Główny trakt ztąd daleko, a ja nie spodziewam się nikogo. Czy to nie zajechał mój sąsiad? dziś są jego imieniny.

— A jak on się nazywa? zapytałem.

— Nazywa się Tomasz.

—Tomasz! powtorzyliśmy wszyscy razem spojrzawszy mimowolnie po sobie.

— A więc to dziś Tomasza? rzekł, ten sam dzień w którym...

—Czy słyszycie?... zawołał komendant, drzwi się otwierają!

Wtém jakby gromada pijaków z krzykiem wsypała się do pałacu. jak szatani krzyczeli, a szelest ich kroków rozlegał się po korytarzach. U nas w pokoju było cicho jak na cmentarzu, nikt z nas nie śmiał odetchnąć, jeden tylko La-

reche zdawał się spokojniejszym od innych, mój Boże wyrzekł cicho Remine, cóż to jest?..... Czy słyszycie? Już są w sieni!... Jeśli to goście, dla czego nie idą na lewo przez przedpokój?... Zbliżają się do naszéj ściany... cóż to?...

Z trzaskiem zaczęły wypadać cegły, wybito zamurowane drzwi.

— Boże zmiłuj się nad nami!... zawołał gosodparz. Czy słyszycie? już mur wyłamali!... chcą wejść do tego pokoju!...

Wszyscy zerwaliśmy się z miejsc. Sztuk co raz się bardziéj powiększał. Oto już w ścianie pozostaje tylko jeden rzęd cegieł. Słyszémy jakąś rozmowę, krzyk, dziki śmiech. Oto wypadają ostatnie cegły. Sam tylko dywan którym zakryte były zamurowane drzwi, oddziela nas jeszcze od sieni. Wtém świeże zimne powietrze wdziera się do naszego ogrzanego pokoju, dywan zaczyna się poruszać, — wszyscy uciekamy z pokoju.

— Czekajcie panowie! zawołał Laroche, po-

zabijacie się, tu tak ciemno, że jeden drugiego nie widzi!

W istocie jak szaleni biegaliśmy po korytarzu, potykaliśmy się, padaliśmy i dusiliśmy się wzajemnie. Jakoś przecie wyszliśmy na obszerniejsze miejsce, lecz ciągle jeszcze w ciemności. Bawialne pokoje nie oświecone, tylko w jadalnym świeci się lampka, rzucamy się więc tutaj. Służący pana Séjan skupiwszy się jeden do drugiego, stali wśród pokoju, a w sieni łoskot ani na chwilę nie ustawał a nawet co raz bardziéj się wzmàgał.

— Lecz czegóżeśmy się tak przelękli? rzekł nakoniec Laroche: Jest nas dwunastu: czegóż się mamy obawiać? ja sam jeden wieczerzałem z całym tuzinem djabłów a nic się ze mną nie stało: Dajcie mi świecę, i za mną! Laroche zbliżył się do drzwi gabinetu, wszyscy zostaliśmy z daleka przygotowując się do rejterady.

— Śmiałym Bóg dopomaga! zawołał Laroche przestępując przez próg.

- I cóż?... wszystko ucichło, potém wszedł

gospodarz, za nim komendant, ja i Merville a za nami cały tłum służących i ostatni oddział a- rjegardy to jest Remine. Nasz śmiały dowódca podniósł do góry świecę, w sieni nie było nikogo, zbliżyliśmy się do zamurowanych drzwi i ani jedna cegła nie wyłamana, nawet mur nie obity, drzwi od dziedzieńca zamknięte, nawet klucz nie wyjęty z zamku.

* * *

Na drugi dzień ze świtem pożegnałem się nieszczęściem na zawsze z dobrym i szanownym P. Séjan. Interesa zatrzymały mnie w mieście przez miesiąc a gdy chcąc znów go odwiedzić wstąpiłem po Mervila, zastałem go pogrążonym w rozpaczy; jego narzeczona umarła. Zachorowała ona przed tygodniem i na drugi

dzień o połnocy rozstała się z tym światem, ostatni raz wymówiwszy imie Mervilla. Musiałem więc pozostać parę tygodni dla pocieszenia przyjaciela mojego a potém właśne interessa w dalszą powołały mię podróż.

FAUSTYNA MORO.

Położona na skale u podnóża wysokich gór, wiecznie okrytych zielonością myrtów i drzew oliwnych, Bastja, jakkolwiek brzydka i niekształtna wewnątrz, jest jednakże miastem malowniczém, krótko mówiąc, jest miejscem najwięcéj handlownem wyspy Korsyki.—Na widok

sześciu sieci, dwudziestu lub trzydziestu czółn rybackich i statku parowego na kotwicy przy nędznym porcie, mieszkańcy jéj z dumą powtarzają że miasto ich jest Marsylją, prawie tak jak Dijon jest Paryżem w Burgundij. Jest przecież jak Ajacjo jedynem miastem na téj wyspie w którem często dorabiają się majątku; wyliczając tych którym się poszczęściło, robią oni tylu zazdrosnych, ilu mieszkańców miasta, są równie szczęśliwi ilo przemyślni, lecz sposób używania dostatków jest u nich w rzeczy saméj szczególny: zależy on tylko na kupowaniu tak zwanych *maquis* wysepek skalistych albo niezliczonych pustek (które odłogiem zostawiają) albo też nagromadzaniu wielkich worów z pieniędzmi do skrzyń na to przeznaczonych, dobrze zamkniętych. Nie zwracają uwagi na zbytek i nie pragną wzbogacać się. Jakże żyć zbytkownie w kraju, w którym tylko jedna jest droga, po której można jeździć powozami i gdzie przez główną ulicę muły z trudnością przechodzą? Co do wzbogacania się nie jeden któremu z początku wszystko z wielką przy-

chodziło pracą i zaledwie mógł wyżyć, późniéj jakikolwiek zebrawszy majątek kończył tak jak zaczął. Bezwątpienia w Bastji jak i gdzie indziéj są wyjątki, te są tam mniejsze, gdyż były by przyczyną zgorszenia w mieście, w którém bardzo jest źle uważanem mieć dużo pieniędzy; posłuchajcie co wam powiedzą o Gregorio i wielu innych którzy stali się miljonowemi w kraju gdzie rzadko słychać o takich bogactwach.

Lorenzo d' Alange z Bastji był jednym z ludzi uprzywiljowanych; ostatni potomek szlachetnéj familji Bonifacio i dla tego nie potrzebował zbyt wcześnie oddawać się handlowi. Używał już dosyć znacznego majątku, gdy na wiosnę, około roku 1810 będąc przy wyładowaniu statku przybyłego z Marsylji, postrzegł w jednem z okien domku blacharza które na port wychodziło, młodą panienkę zadziwiającéj piękności. Lorenzo notując w książeczce ilość przybyłych towarów, zapytał się o imie téj zachwycającéj istoty. Jest to córka starego Tomasza Moro, piękna Faustyna, za którą szaleje cała nasza młodzież, odezwał się jakiś ro-

botnik obracając swym żelaznym haczykiem wielką belę materji i schylając się dla wzięcia jéj na swoje szerokie plecy. Zaledwie dwa miesiące jak powróciła z Saint-Florent a już pozawracała głowy wielu dzielnym chłopakom, dodał poczciwiec prostując się z trudnością i zwolna szukając swego środka ciężkości. Ale jest dumną! bardzo dumną! Biada temu kto przywłaszczy sobie tego pięknego ptaszka. Wyrobnik który już włożył na siebie swoją belę wyszedł ze statku na wybrzeże nie rzekłszy już ani słowa.

Lorenzo wpatrując się ciągle w okno w którem co moment okazywała się dziewica, chciałby był jeszcze czegóś więcej się dowiedzieć. Statek był zupełnie prawie wyładowany, zamknął więc swoją książkę, zbliżył się do sklepu blacharza i z pewną powagą zakołatał do drzwi; własciciela sklepu nie było w domu, córka więc jego zeszła na dół i otworzyła. Zarumieniła się poznawszy tego, który nie dawno wpatrywał się w nią z bacznością która nie uszła jéj uwagi. Lorenzo zachwycony że znalazł się sam na sam z panienką, zaczął z nią

mówić i przeciągnął rozmowę dopóty, dopóki mu się zdawało że nie wzbudza podejrzenia. Odchodząc zostawił spis różnych przedmiotów prosząc ażeby na dzień następny na tę samą godzinę przygotowane być mogły. Nazajutrz Lorenzo powrócił do domu blacharza i tym razem ośmielił się zwrócić nieznacznie rozmowę na miłość, lecz Faustyna udał że nie rozumie. Jéj oziębłość i bezinteresowność obraziły miłość własną Lorenza; przedsiebierczy jak wszycy Korsykanie i gorący jak mieszkaniec południa, poprzysiągł jéj upór zwyciężyć, chociażby go to jak najwięcéj kosztować miało i od tego czasu używał wszelkich sposobów do dopięcia swego celu; ale wszelkie prośby, uwodzenia, obietnice, okazały się bezskutecznemi. Długi już czas upłynął, a Faustyna była ciągle nieczułą. Lorenzo udawał że go to bolało; tym czasem upór rozognił jego żądze, a dziwactwo zamieniło się w prawdziw namiętność. Zatrudnienia, prace, spekulacje wszystko to poszło u niego w niepamięć, zajmował się tylko miłością, być szczęśliwym lub umrzeć, była to

myśl jego jedyna; tak to szybko wzrastają namiętności w Korsyce.

Lorenzo miał rozsądek pospolity, prosty, który nabył w swoim kantorze; poznał on zaraz że nie z żadną z tych panien lekkomyślnych; którąby uwieść obietnicą, albo przekupić można podarkiem miał do czynienia, ale wiedział że to jest dziewczyna z charakterem, i że, aby być szczęśliwym, trzeba było przede wszystkiem zakochać się.

Był młodym, pięknym, w miłości ognistym w namiętności wymownym, mógł więc mieć nadzieję. I w rzeczy samej gdy go Faustyna u nóg swoich zobaczyła, igdy poznała że jest kochaną namiętnie, pokochała go. Nie poprzestał na tem Lorenzo że zwyciężył serce Faustyny chciał jeszcze zwyciężyć i sumienie. Ale tym razem Faustyna była nieporuszoną, żadne widoki ani warunki nie były przyczyną jéj oporu, bo była cnotliwą, miała czyste sumienie, a ponieważ szlachetny jéj charakter ograniczał żądania więc była nieprzezwyciężoną. Zresztą nie miała żadnéj złéj myśli, a jéj przezorność była bezinteresowną; wprawdzie Lorenzo zniecier-

pliwiony przyrzekał często że się z nią ożeni, ale zawsze szlachetna dziewczyna odmawiała mu. Tym czasem Lorenzo przeciągnął łatwo na swoją stronę starego Tomasza, lecz i jego protekcja była bezskuteczną. — Nie, — odpowiedziała Faustyna, na jego zachęcania, nie, ten związek nie może przyjść do skutku. Lorenzo bogaty nie może zaślubić córki rzemieślnika. Lorenzo zmartwił się i napróżno wyszukiwał sposobu jakimby ten upór przezwyciężyć. Dnia pewnego zdawało mu się że go wynalazł: „Czy kochasz mię, zapytał się Faustyny?“—Młoda panienka nic nie odpowiedziała ale jej milczenie zapytanie potwierdziło. Nie chcesz być moją żoną publicznie a więc pozwól zaślubić się potajemnie, a jak się tylko pobierzemy zawiozę cię na wybrzeże Brando gdzie mam posiadłość w górach, w kilka lat związek mój ogłoszę, przywiozę cię napowrot ze stałego lądu i nikt w tobie nie pozna córki blacharza z Bastji. Nie będziesz mi więc szkodzić jak się tego obawiasz, i ciebie to nie schańbi, będziemy szczęśliwi na złość światu, bo tego godni jesteśmy.

Faustyna smutnie wstrząsnęła głową, słucha-

ją przedstawień Lorenza; prosiła go aby zaczekał do jutra, a wtedy namyśli się i odpowie. Nazajutrz gdy Lorenzo drżąc, przyszedł zapytać się jéj co postanowiła, wyciągnęła ku niemu rękę i rzekła z niewymowną radością; — kiedy chcesz, będę twoją żoną; ale pamiętaj że od tego czasu żyję tylko dla ciebie. Bądź dla kogo innego Lorenzem, a dla mnie zawsze kochankiem.

Lorenzo byłby szczęśliwym, gdyby był tego godnym. Okazał tak gorącą usilność pozyskania Faustyny, iż możnaby sądzić że był prawdziwie wzruszonym; ale w głębi duszy usilność ta pochadziłe z wyrachowania, jak o tém późniéj przekonamy się. Ślub Lorenza i Faustyny odbył się w nocy, dał go pewien kapłan w kaplicy klasztornéj przylądka Korsyki, a nazajutrz Lorenzo zawiózł nową małżonkę do swego wiejskiego domku w Brando, gdzie wszystko przygotowanem było na ich przyjęcie.

Piersze lata ich małżeństwa upłyneły spokojnie; wprawdzie Lorenzo musiał często opuszczać Faustynę, interesa powoływały go, to do

Bastji, to do Ajacio czasami nawet do Liworno i Marsylji; ale powracał zawsze więcéj jeszcze niż kiedykolwiek rozkochany i Faustyna mogła być pewną że największem dla niego szczęściem było zapomnieć w jéj objęciach świata i majątku; pomyślność ta była zupełną i przez lat pięć nie jéj nie przerwało. Tymczasem szczęście było ciągle przywiązanem do przedsiewzięć Lorenza, cokolwiek zamierzył spełniało się. Majątek jego nagle wzrastał i kilka lat po swojem mniemanem małżeństwie był jednym z najbogatszych kupców Korsyki, kredyt jego był najmocniéj i najwięcéj ustalony i Livorno było środkowym punktem jego działań które rozciągały się po całych Włoszech a nawet we Francji i na wschodzie.

W tém to mieście tak handlownem korzystał ze znaczenia jakie nadaje wielki majątek spiesznie nabyty, a ponieważ uważano go za bezżennego młodzieńca, dziesięć najznakomitszych domów których właściciele mieli córki na wydaniu, proponowały mu nieznacznie związki, które zawsze Lorenzo odrzucał. Niewiedziano czemu przypisać jego wstręt do tak korzy-

stnego interesu jakim jest małżeństwo, które dając mu w ręce piękną kobietę, powiększy zarazem jego kapitały i kredyt. Otóż to jeden z tych Korsykanów, mówili mądrzy Liwornianie, których duma jest nienasyconą. Zobaczycie mówili, że będzie czekać 50 lat i 20 miljonów majątku do ożenienia się i wtedy zapewne prosić będzie o rękę córki jakiego hrabiego.

Przy końcu piątego roku jego małżeństwa z Faustyną, wielka zaszła zmiana w charakterze i zwyczajach Lorenza. Jego oddalenia się ze wsi Brando były częstsze i dłużej trwały, mniéj był uważny i miłość jego stygła nawet w objęciach Faustyny. Były chwile w których był rostargniony i marzył, co wszystko nie mogło ujść przezorności i przenikliwości kochanki. Przezwyciężając siebie samą i idąc za natchnieniem miłości Faustyna udawała że nie widzi téj zmiany. I w istocie każda uwaga z jéj strony uczyniona, pociągnęłaby za sobą tłómaczenie a następnie i wyrzuty, Faustyna zaś była za nadto dumna, aby nawet przypuścić mogła że on

nią pogardza, lub mniéj niż dawniéj kocha. Uważała nadewszystko za niegodne siebie pokazać iż myśli o tem, gdyby nawet była tego pewną.

Przyczyną zmiany w Lorenzie, były niegodziwe doradzania przyjaciół, szkaradna duma którą u niego umyślnie wpajano, a wreszcie i niestałość wrodzona któréj nie chciał się dotychczas pozbyć, a która właśnie go zgubiła.— Wprawdzie nie błądził przez samą tylko dumę gdyż znając próżność bogactw byłby wstrzymał się od swych usiłowań, ale nie mógł się oprzeć uwodzeniom innego rodzaju. Jego serce gorące wiele ceny żądzom nadawało. Liworno, ten wielki rynek Toskanji, ten targ zarazem Angielski i wschodni, jest nadewszystko sławném z piękności swych kobiet, których rodzaje tak są rozmaite jak ubiory, ale Armenianka albo Greczynka same tylko podzielają z Angielką palmę piękności.

Suchy brzeg morski Ardenza jest w Liwornie modną przechadzką. Tam co wieczór kupiec wychodząc ze swojego sklepu, idzie po zar

chodzie słońca, wypocząć po trudach, oddychać świeżém morskiém powietrzem; tam spacer w piękny wieczór całe tamtejsze towarzystwo przekłada nad wszelki inny. Nic pyszniejszego nad widok jaki przedstawia ta przechadzka, w któréj nagromadzone są ubiory tylu narodów. Tam nadewszystko w tym chłodzie włoskiego wieczoru niebezpieczne są kobiety, czyli to jako zaczepiające syreny używiają zdradliwych powabów dla porwania swojéj zdobyczy, czyli też nie znając mocy swoich wdzięków, okazują się jeszcze więcéj strasznemi niż tego pragną.

Lorenzo którego interesa więcéj jak tydzień w Livorno zatrzymały, przechadzał'się raz wieczorem w towarzystwie Francuza jednego ze swoich przyjaciół; wtém spostrzegł naprzeciw siebie kobietę tak zadziwiającéj piękności, że jakby omamiony tem spotkaniem stał nieporuszony. Młoda ta kobieta nie była samą, prowadził ją pod rękę jakiś człowiek już w wieku, który bez wątpienia był jéj ojcem. Przyjaciel Lorenza ukłonił się starcowi i jego towarzyszce, a

Lorenzo machinalnie toż samo uczynił. Gdy ochłonął z zachwycenia zapytał się go z ciekawością o nazwisko téj, tak pięknéj osoby. Jak, to nie znasz jéj jeszcze, odrzekł Francuz, jest to najpiękniejsza panna z całego Liworno, piękna między pięknemi, Teodora córka starego bogacza Greka Papadolo; widziałeś jak jest piękną a jest bogatszą jeszcze. Zapewniają że Papadolo miljony zostawi jéj w posagu; już dwóch czy trzech Książąt Włoskich stara się o jéj rękę, ale Papadolo na żaden sposób nie chce mieć córki księżniczką, ma on zamiar wydać ją za jakiego bogatego kupca, który się jéj podoba. Umysł ma Indjanina, i co postanowi, dokona. Lorenzo słuchał, nie odpowiadał i zdawał się głęboko być zamyślonym, przerwał mu jego przyjaciel ściskając go za ręce: Oto ją masz, patrzno skierowała ku nam. — przyjaciel ten był podobnym do strasznego kusiciela. Lorenzo w rzeczy saméj ujrzał młodą Greczynkę która wydawała mu się piękniejszą niż kiedykolwiek. Spojrzenie które z niechcenia rzuciła na niego przeniknęło go aż do

głębi serca i cały zadrżał. Do samego końca przechadzki wymawiał wyrazy krótkie i niezrozumiałe. Zadawał swemu przyjacielowi pytania nie mające żadnego związku z Papadólo, i nie czekał odpowiedzi; chodził wielkiemi krokami, robił gwałtowne poruszenia, miał nieco minę warjata, i w rzeczy saméj dotknięty te nagłą słabością miłości, tak właściwie nazwaną uderzeniem piorunu bliskim był pomieszania zmysłów powracając z Ardeuza, wymógł to na swoim przyjacielu że mu przyrzekł przedstawić go nazajutrz staremu Papadolo.

W ośm dni po przedstawieniu go Teodorze, Lorenzo, zazwyczaj tak dziki, zaczął myśleć o miłości i przedstawiał oziębłe stan swego majątku panu Papadolo, który słuchał go, i wezwał do siebie za dni 15. — po upływie tego czasu niektóre bliższe objaśnienia już były udzielone, a Lorenzo przyjęty, jeśli potrafi podobać się Teodorze. Lorenzo był jeszcze młodym, figurę miał kształtną i znał drogę serca u kobiet, podobał się więc i wkrótce oznaczono dzień ślubu, który odbył się w kościele Madonny blisko wsi

Mont—Nero w któréj mieszkał Papadolo podczas lata. Jakaś korsykanka która znajdowała się w Liwornie i znała Lorenza, zapowiedziała nie pomyślność tego związku; postrzegła bowiem iż wszyscy ci, którzy wychwalali przed Lorenzem doskonałą piękność jego żony, nie dodali na końcu swych pochwał „Niech ją Bóg błogosławi.“ Wszelkie tego rodzaju zapomnianie jest wróżbą nieszczęścia, powiedzieć na dziecko że jest piękne, a nie dodać niech go Bóg błogosławi, jest to los mu naznaczyć, tak przynajmniéj mówią mieszkańcy korsyki których większa część wierzy jeszcze w uroki.

Niebo jest sprawiedliwe a przecież i wielcy winowajcy doznają niekiedy chwil bardzo szczęśliwych. Interesa Lorenza prowadziły go często z Livorno do korsyki, mało osób na wyspie wiedziało o jego małżeństwie, tajemnica więc była utrzymywaną rok przeszło. Lorenzo miał nadzieję że ta nowina nie dojdzie nigdy do Brando, gdzie Faustyna ciągle żyła samotna. Lecz gdyby przypadkiem biedna kobieta dowiedziała się (mówił on sobie,) to damy przejść

pierwszemu wybuchowi gniewu, a późniéj łatwo znajdziemy sposób wynagrodzenia jej i nakazania milczenia sypiąc złotem i zapewniając jéj stan jaki. —

Uspokojony temi tak nędznemi przysposobieniami sumienia, nie wierny przychodził bez wyrzutów z objęcia jednéj w objęcie drugiéj żony. Faustyna była za nadto dumną i pewną siebie saméj a Teodora za bardzo niewinną, aby mogły spodziewać się takiéj bezecności. Dodajmy tu jeszcze że od czasu zawarcia małżeństwa Lorenzo odzyskał dawną wesołość, którą przez jakiś czas stracił i że nic nie mogło wzbudzać w Faustynie podejrzenia o zdradzie kochanka.

Zbytecznie jest mówić że gdyby nam wszystko się odkryło, ileżby to dram około nas rozwinęło się, w których nie sądziliśmy nawet aby pierwsze sceny były kiedy grane. W jakiejże otchłani pogrążyłoby się oko nasze! Tajemnice i ciemności ukrywają wistocie więcéj zbrodni niż ich karze sprawiedliwość. Na trzech winnych można powiedzieć że dwóch bywa ukrytych ze swemi zbrodniami

i zupełnie zapomnianych. Lorenzo liczył na tajemnicę i zapomnienie, był pewnym że mu to ujdzie bezkarnie, ale dowiemy się późniéj ile się mylił w swoich rachubach.

Lorenzo miał do usług młodego Korsykanina którego przyjął w górach Balagne. Jakkolwiek dzikiego i nie umiejętnego wziął, go dla większéj pewności. Jego tylko jednego przywoził często do Brando, do Faustyny, jego krewnéj, jak to przed nim utrzymywał; ale dziecię to nie umiejące czytać ani pisać, ktore mówiło nie zrozumiale i które pan jego uważał za niezmiernie ograniczone, pod grubą i zwierzęcą powierzchownością ukrywało dowcip i przezor. ność prawdziwie góralską, jak niemniéj właściwą mu chytrość i wszystkie złośliwe namiętności'—Od czasu pierwszych swoich odwiedzin w Brando, miał on w podejrzeniu swego pana, uważał go pilnie i wkrótce wywiedział się dokładnie jak ma uważać to mniemane kuzynostwo Lorenza i Faustyny. Będąc panem téj tajemnicy to nieokrzesane dziecko, miało nad sobą dosyć władzy do jéj zachowania, przeczuwając dobrze, że kiedy mogłoby mieć swoje milczenie

drogo opłacone a nie wiedząc któréj ze dwóch żon Lorenza je wyjawić. Matheo (było to imie chłopca) miał wszystkie wady młodych górali, był leniwym, żarłokiem i kłamcą; Lorenzo był więc często zmuszonym karać go za te błędy. Kary te były zwykle ojcowskie, zasadzały się na surowych wyrazach, lub na zatrzymywaniu zasług. — Ale razu pewnego, gdy zgubił gdzieś list bardzo ważny, który pan jego kazał mu zanieść do jednego ze swojch korespondentów w Bastji, Lorenzo rozgniewany na jego niedbalstwo które mogło pociągnąć za sobą bardzo złe skutki, zagroził chłopcu karą innego rodzaju, Matheo zuchwale się stawił, Lorenzo do ostatniego rozgniewany pochwyciwszy za ramię, uderzył go kilkadziesiąt razy po plecach szpicrutą którą trzymał w ręku. Kara była ostra, chłopiec szarpał się z gniewu i zostawiwszy w ręku Lorenza część swojego ubioru wymknął się płacząc, i krzycząc z całych sił że się pomści.

Zdarzenie to było wieczorem, a nazajutrz Lorenzo miał popłynąć do Livorno. Napróżno

czekał na chłopca który już nie pokazał się więcéj.

Wróci się do swoich gór, pomyślał sobie, a przybywszy do Livorno o wszystkiém zapomniał.

Chłopak uciekając przyrzekł pomścić się, był Korsykaninem, natchnienia namiętności były w nim jeszcze nieokrzesane i utrzymały się w swéj pierwotnéj sile; groźba więc ta nie powinna bez skutku pozostać, i Lorenzo jako również Korsykanin, powinien był także o tém pamiętać.

Zobaczmy co przedsiewzięło to dziecko, aby uskutecznić wyrzeczoną na pana groźbę i na jakie wpadło rozmowania w tym wielkim akcie pomsty.

„ Mój pan, mówił on sobie, ma dwie żony, jedną w Brando, drugą w Livorno. Ponieważ zaś można mieć tylko jedną żonę, obiedwie je więc zdradza. Którąż uprzedzić! Tę która jest w Livorno, ale ta jest bardzo młoda, nie słuchałaby mię, a potem jakże przebyć morze? Ale ta, co jest w Brando więcéj kocha mojego pana, ma oczy czarniejsze, musi więc być zło-

śliwszą, a przy tém nie jest cudzoziemką, pochodzi ona z tego samego kraju, to bardzo wiele znaczy. Matheo nie ostygł w gniewie i zaraz tego samego wieczora udał się brzegiem morskim do Brando. Ponieważ noc już była gdy przybył blisko domu wiejskiego Faustyny, ukrył się w jednéj wieży zniszczonéj, które mieszkańcy Genewy budowali na każdym przylądku, i przy odnodze każdéj wyspy. Tam czekał dnia kołysany hukiem bałwanów morskich i marząc roskosznie o swojéj pomście. Gdy już słońce weszło wysoko, zapukał do drzwi Faustyny, a że służąca poszła do wioski sąsiedniéj, sama więc mu otworzyła.

Gdy postrzegła Matheo pokrytego kurzem i tylko samego, uderzył ją przestrach i zbladła okropnie.

— Czy żyje Lorenzo!... było to jedno wykrzyknienie które zdołała wymówić.

— O tak, jest pani, żyje i jak jeszcze.

— Dla czegóżeś tu sam przyszedł?

— Wybił mię i uciekłem.

— Uciekłeś! a gdzież zostawiłeś swojego pana?...

— W Bastji skąd do Liworno miał popłynąć.

— Wiedziałam o tém.

— Tak jest, zapewne pani wiedziałaś i o kobiecie która go czeka w Livorno, dodał ponuro Matheo.

— O jakiéjże to kobiecie mówisz?

— O żonie mojego pana, Teodorze...

— Alboż twój pana ma żonę w Livorno?

— Zapewnie pani żartuje, czyniąc mi to zapytanie, wiesz zapewnie tak jak ja, że mój pan ożenił się w Livorno.

— Ożenił się? jakto! jakże to dawno? z kim?

— Od roku, z córką Greka bogatego, bardzo bogatego! Teodorą Papadolo.

— Kłamiesz nędzniku! twój pan wybił cię i dla tego obmawiasz go.

— Pan mój wybił mię, ale ja nie kłamię. On ożenił się, całe miasto Livorno wie o tém, a jeżeli pani mi nie wierzysz, to napisz

do plebana kościoła Madonny w Mont-Nero który mu ślub dawał.

Faustyna została przekonaną, gdyż w doniesieniu chłopca łatwo było poznać głos naturalny prawdy. Faustyna poprowadziła go do osobnego pokoju i przez dwie godziny zarzucała go pytaniami i kazała opowiadać wszystko cokolwiek wiedziała o Teodorze i Lorenzie. Później gdy przekonał się o prawdzie z ilości i dokładności szczegółów i gdy już nie zachodziła żadna wątpliwość, pożegnała Matheo, zalecając aby nikomu nie mówił o tém, co się od niego dowiedziała, i rzuciła mu kilka sztuk srebra. Matheo podjął pieniądze z wyrazem zadowolenia; wzruszenie Faustyny nie uszło jego uwagi i był pewny że się pomścił.

Gdy w ośm dni Lorenzo powracając z Livorno, przyjechał do wsi Brando, uderzyła go bladość Faustyny i zmiana rysów jéj twarzy. Te ośm dni były dla nieszczęśliwéj kobiety ośmią wiekami boleści i rozpaczy; Lorenzo, jéj jedyny przyjaciel, ten w którego jak w Boga wierzyła; człowiek, dla którego poświęciła młodość, życie i szczęście, Lorenzo zwiódł ją,

zwiódł niegodnie! zaprzedał się innej. Te chwile które przepędzał z daleka od niéj, w objęciach nieznajoméj rywalki przepędzał; wszystko więc dla niéj było stracone, wypadało jéj tylko umrzéć, ale ona była także Korsykanką i przed śmiercią chciała się pomścić i dla tego przez cały czas nieobecności Lorenza dobywała wszystkich sił dla utrzymania życia, które niknęło. Oko mniej ufne i rostargnione jak Lorenza, odkryłoby na twarzy nieszczęśliwej ślady téj strasznéj walki.

Faustyna gdy ujrzała Lorenza, miała jeszcze dość siły do udawania. Z wściekłością w głębi duszy, starała się przyjąć go z uśmiechem; w téj strasznéj wewnętrznéj walce nie raz bliską była omdlenia.

Gdy się noc zaczęła, Lorenzo zmordowany podróżą położył się w łóżko i w krótce mocno zasnął. Faustyna ze snu tego korzystając, zaczęła przewracać jego papiery i w nich szukać dowodu jéj uwiedzenia, — może jeszcze powątpiewała, albo miała jaką nadzieję. — Ale te wyczerpały się, gdyż znalazła dowód którego szukała, były to listy Papadola, tyczą-

ce się dóbr, które zostawił córce i list samej Teodory. Pewna już niewierności Lorenza, Faustyna o zemście tylko myślała.

Zamknęła pilnie drzwi pokoju, ze stolika na którem Lorenzo zwykł był kłaść pistolety podróżne, wzięła jeden z nich, przekonała się że był nabity i przyłożyła oziemble lufę do czoła śpiącego Lorenza. —Czy wahała się w téj strasznéj chwili? o tém nikt nigdy nie wiedział; nabój wypadł i Lorenzo nie uczyniwszy najmniejszego poruszenia, nie wydawszy nawet krzyku, przeniósł się ze snu do wieczności.

Gdy po odkryciu morderstwa przejrzano pokój gdzie spał Lorenzo, nic nie było koło niego poruszonem, zdawał się spać jeszcze głęboko, pistolet tylko, który bez wątpienia wypadł z rąk Faustyny, leżał pod łóżkiem.

Wrszcie Faustyna z biórka które znaleziono otwartem, wzięła akt pierwszego ślubu z Lorenzem, akt fałszywy, jakto późniéj odkryto, pomazany krwią Lorenza, która widać wytrysnęła na ręce nieszczęśliwéj, zawinęła go w papier, zapieczętowała i posłała swojéj rywalce w Livorno, późniéj usiadła na krześle przy

łóżku Lorenza z twarzą zwróconą na twarz u-marłego; jak długo trwało to tak przykre jéj położenie, o tém nikt nie wie, nikt bowiem przez cały dzień nie odważył się wejść.

Nazajutrz około południa służąca niespokojna że tak długo nie widać nikogo wychodzącego z pokoju do drzwi którego pukała, nie odebrawszy żadnéj odpowiedzi przywołała sąsiadów, a gdy wszyscy wyważywszy drzwi weszli do pokoju sypialnego małżonków, znaleziono Faustynę siedzącą bez żadnego znaku życia. Doktór z Bastji którego przywołano dla potwierdzenia tej śmierci dwóch osób, nie odkrył w jéj ciele żadnego znaku sztyletu lub trucizny, umarła więc śmiercią naturalną, której rospacz była przyczyną.

IZTTOA GRIMANI.

— „ To jest pałac Grimani, rzekł Ciceronc gdyśmy z naszéj gondoli na wilgotne marmurowe wschody wstąpili.

Mocne pociągnięcie dzwonka wywołało dozorcę pałacu, którego nadzieja zapłaty szybko

sprowadziła. Otworzywszy ciężkie drzwi, które z trudnością i nieprzyjemném skrzypieniem obracały się na zardzewiałych zawiasach, odepchnąwszy grube okiennice które nie dopuszczały powietrza i światła, wziął wytartą liberję, która zdawała się być tak starą jak sam pałac i wprowadził nas do ponurego przedsionka, gdzie uzbroił się ogromnym pękiem kluczy od następnych pokoi. Wnętrze pałaców weneckich bywa we wszystkich jednakowe. Każdy z nich zawiera tę samą liczbę pokoi, które są wybite skórzanemi złotem i srebrem zdobnemi obiciami, albo axamitem i jedwabiem. Każdy pokój ma zwykłą liczbę pięknie malowanych i wyzłoconych drzwi, z futrami z najpiękniejszego alabastru i marmuru, a w wielu znajdują się małe, właściwe domom weneckim pokoiki, mające coś z dawnych sypialni i nowych budoarów, i stanowiące wyborne miejsce do *siesta*, czytania i nie mniéj cenionego włoskiego zbytku *far niente* który tylko Włosi i kreolowie godnie cénić umieją. Ale nie na wspaniałych rzeźbach, nie na mocnych i

kosztownych sprzętach, nie na rzadkich obiciach, albo wspaniałych ozdobach sufitów spoczywa oko w tych niegdyś tak pysznych a dziś upadających pałacach, spojrzenie przywiązuje się tam do pięknych malowideł, tych tryumfów jeńjuszu i sztuki, któremi większa część tych gmachów jest ozdobioną.

Kiedy już dłużéj, niż zwykle czynią to podróżni, napatrzyliśmy się z uwielbieniem na arcydzieła Giorgionesa, który zdaje się że w słońcu maczał swój pędzel, tak ogniste są jego farby, na skarby Titiana, w którego portretach krew jeszcze zdaje się płynąć, zabierałem się wyjść z pałacu z zamiarem obejrzenia innym razem obrazów Tintoretta, Bossano i Veronese, których axamity i atłasy więcéj mię zachwycały, niż najpiękniejsze wyroby warsztatów ljońskich, genueńskich i angielskich, kiedy wtém oko moje zatrzymało się na jedném malowidle Veronesa, które piękniejsze było od wszystkich jakie dotąd widziałem. Wystawiało ono młodą piękną damę, w ubiorze weneckim, z wyrazem twarzy który całą moję uwagę zwrócił.

Ten portret, rzekł dozorca, wzbudza we wszystkich cudzoziemcach większe podziwienie, niż którykolwiek inny z całego tego pięknego zbioru. Przedstawia on jedyne dziecię wielkiego Grimani, i wymalowany był przez Paolo Veronese wkrótce po powrocie z Rzymu, dokąd towarzyszył temu szlachetnemu mężowi, który był posłem przy dworze papieskim.

— Ta Signora musiała być bardzo piękną, — rzekłem do dozorcy, Jacopo Zuccareli, który jak mi mój przewodnik powiedział uważany był za bardzo uczonego człowieka, —ale w jéj twarzy widać głęboką melancholję.

— Istotnie, nieszczęśliwa miała dość przyczyn do smutku i cierpień, odpowiedział z westchnieniem.

— Tajemnice rodzinne po upływie wieków przestają być niemi, signor Jacopo, rzekłem, i jeśli nie zabrałbym wam wiele drogiego czasu, radbym usłyszéć od was historję oryginału, tego pięknego portretu.

— Długa to historja mruknął Jacopo, kiwając głową i dobywając z kieszeni kamizelki wielki stary srebrny zegarek, który zdawał się być

jeszcze zrobionym przez Petra Hele, i na który on patrzył w sposób dający poznać, że nie ma ochoty wypełnić moje życzenie. Ale widok sakiewki którą dobyłem i elektryczne dotknięcie sztuki złota którą mu wcisnąłem w rękę, zwyciężyły wnet jego niechęć. Oświadczył iż gotów jest opowiedzieć mi tę historję, ale tylko mnie samemu, i dla tego mój Cicerone musiał odejść.

Signora Izotta Grimani, zaczął dozorca pałacu, której portret widziemy tu przed sobą, uchodziła w swoim czasie za najpiękniéjszą z wszystkich dam w Wenecji; chociaż nikt temu nie przeczył, nikt jednak nie był o tém tak przekonany jak Rodrigo Manfredoni potomek jednéj z najstarszych rodzin państwa. Ten Rodrigo Manfredoni uważany był za najpiękniejszego młodzieńca w Wenecji, i tak dalece przewyższał w tém wszystkich innych młodych ludzi, że zwykle mówiono o nim, ,, Natura stworzywszy go, stłukła formę. Na nieszczęście majątek jego nie wystarczał mu do utrzymania godności jego imienia, a nawet zaledwie mu podawał środki najskromniejszego życia.

To ubóstwo było skutkiem rozrzutności jego przodków i zmuszało go mieszkać w pół zawalonym pałacu, wpośród świadectw dawnéj świetności, które mu ciągle i tem dotkliwiéj jego ubóstwo przypominały. Uczucie nędzy ścigało go wszędzie jak czarny cień i nie tylko odejmowało mu pociechę teraźniejszości, ale nawet nadzieję przyszłości. A jednak niestety nie zasłoniło go od miłości!

Rodrigo Maufredoni żył bardzo usunięty od świata, chociaż dopiero był w kwiecie wieku swego; siedział całemi dniami nad spylonemi i nadgryzionemi przez robaki książkami w które obfitowała jego bibljoteka, tym sposobem przenosił się w przeszłość i zapominał o smutnéj teraźniejszości.

Umiem cenić przyjemności takiego życia, bo je sam przez wiele lat prowadziłem. Jest to istotnie pociechą przestawać z mędrcami i wielkiemi ludźmi dawnych wieków, którzy nam najpiękniejsze myśli podają, kiedy tymczasem słabi i światowo myślący nowi mędrkowie, podają nam tylko czcze słowa, nie warte żeby je w pamięci zatrzymywać.—Rodrigo rzadko bywał w towa-

rzystwach, i w tych rzadkich wypadkach zimna godność jego obejścia, odpychała wszelką poufałość.

Dumny jak Lucyfer, mawiano o nim — ale i piękny jak strącony anioł, dodała nie jedna dama po cichu, zwracając oczy na jego piękną twarz i kształtną postawę.

Na wielkiéj uczcie danej z powodu szesnastej rocznicy urodzin signory Izotty, wszystka szlachta Wenecji była zgromadzoną w tym pałacu, a między innemi i hrabia Manfredoni. Młoda Izotta pierszy raz przy tej okoliczności ukazała się publicznie, ale sława jéj nadzwyczajnéj piękności poprzednio już rozeszła się, i wszyscy byli ciekawi czy ta sława nie jest przesadzoną. Damy bardzo były skłonne do tego zdania, że powaby młodéj Izotty nad wartość są cenione, kawalerowie zaś twierdzili, że opis dalekim jeszcze jest od rzeczywistości, a starzy niedbając o wdzięki, rozmawiali tylko o niezmiernem bogactwie jéj ojca, którego była jedyną dziedziczką.

Wszystkie przeto oczy zwróciły się na młodziuchną Izottę, która obojętnie prowadziła

wzrok w około, dopóki jéj spojrzenie nie spotkało się z spojrzeniem Rodriga Manfredoni, którego wyraz popędził krew na jej lica, kiedy tymczasem on sam, jakby wrośnięty w ziemię, stał bez poruszenia i nie mógł odwrócić oczu od zachwycającéj postaci. Kiedy Izotta drugi raz podniosła oczy, spotkała to samo namiętne spojrzenie hrabiego, i to spotkanie było dla obojga stanowczem.

Kiedy zameldowano że stół już nakryty, w sercu młodéj Izotty drgała myśl, że ten j e d y n y na którym przez chwilę spoczęło jéj oko, ukaże się aby ją poprowadzić do stołu i mimowolnie obejrzała się na niego. Oczy ich spotkały się raz jeszcze, ale on natychmiast wyszedł z sali i tylko odwrócił się aby rzucić żegnające spojrzenie na powabną postać która głęboko już wyrytą była w jego sercu.

To spojrzenie było podobne do strzały którą zwykle wypuszczali Partowie uciekając; trafiło ono do celu, i od téj chwili młoda Izotta myślała tylko o pięknym nieznajomym.

— Gdzież jest Manfredoni? zapytał oglądając się stary Grimani. Czyliż i przy téj radosnéj

dzisiejszéj okoliczności chce nie odsiąpić od zwykłéj swojéj surowości w usuwaniu się od naszych rozrywek? Spodziewam się że nie odejdzie nie spełniwszy puchara na pomyślność dziedziczki naszego domu.

— Jego cześć opuścił już pałac, rzekł mistrz ceremonji, a wielu z obecnych gości zamieniło między sobą znaczący uśmiech, który nie uszedł baczności Izotty.

— Tak, jest on dumny jak lucyfer, rzekł jeden.

— Ale z czego dumny, odrzekł inny, chyba z swego ubóstwa.

— Kiedy człowiek, dodał trzeci, będący ostatnim potomkiem tak dawnéj rodziny, jak Manfredonich, nie ma środków utrzymania dawniéjszéj świetności domu, możemy mu przebaczyć tę dumę, która skłania go do usuwania się od biesiad z ktorych nie mógłby się wywzajemnić.

Izotta uczuła wewnętrzną wdzięczność dla tego który ostatni mówił, i Manfredoni z swoją szlachetną postawą, wysokiém bladém czo-

łem, koło którego cisnęły się piękne kręcze zwoje włosów, nabrał więcéj powabu w jéj oczach, kiedy dowiedziała się że jest dumny i ubogi, bo połączenie tych dwóch własności zawsze sprawia wrażenie na sercu kobiet i wzbudza jch współczucie.

—Jego dom jest bardzo dawny, to każdy wie, rzekł znowu jeden z gości, tak dawny, że musi upaść na swego posiadacza, jeśli on nie znajdzie albo bogatéj dziedziczki, któraby go podparła, albo jeśli jego głęboka nauka nie dopomoże mu do odkrycia kamienia filozoficznego. Istotnie nikt nie powinien mieć więcéj nadziei odkrycia tego kamienia jak on, bo przysłowie mówi: że bieda jest matką wszystkich wynalazków.

— Z jakąż niechęcią zwróciła się Izotta od tego żartownisia, aby znowu pieścić się obrazem Rodriga, z jego melancholicznemi oczami, temi oczami które z tak czułą namiętnością na nią patrzyły. Zobaczyła go w ponurych, pustych, ciemnych komnatach jego starego, upadającego pałacu i łza wykradła się z jéj tkliwego oka.

Uczta skończyła się, goście odeszli, a signora Izotta udała się do swojéj sypialni z nowém i gwałtowném uczuciem. Miłość wcisnęła się w jéj serce pod postacią litości, któréj serce kobiety nigdy nie zdoła się oprzeć. Z niechęcią patrzyła na kosztowne przedmioty które ją otaczały, bo one tworzyły dziką sprzeczność z pustem mieszkaniem tego którego już kochała. Jéj służąca, jéj wierna piastunka, która od jéj urodzenia ani na chwilę jéj nie odstąpiła, postrzegła z trwogą smętność swéj pani i trwożnie zapytała czy nie jest słabą.

— Nie, moja kochana Beatrix, jestem tylko znużoną tym gwarem i świetnością, odpowiedziała Izotta, siadając na niskim taborecie przy oknie.—Zgaś wszystkie świece prócz jednéj, a i tę zakryj, bo te wyzłacania i świetne barwy obić nieprzyjemne wrażenie czynią na moich oczach.

Czy nie powiadałeś mi, moja Beatrix, mówiła daléj po chwili milczenia, że służyłaś pierwéj u rodziny Manfredoni, nim do nas przyszłaś.

— Tak, moje dziecię, odpowiedziała piastunka, często opowiadałam ci, jak szczęśliwe dni przeżyłam u téj szlachetnéj rodziny, tak często, że bałam się żeby cię nie znudziło słyszeć ciągle to imie. Dla czego teraz pytasz mię o to?

Nim signora Izotta mogła odpowiedzieć, usłyszano dzwięk gitary z gondoli pod balkonem. Izotta kazała otworzyć okno, a piastunka uczyniwszy to rzekła.

— Ten głos jest mi znany!—potém spojrzawszy na dół poznała w tym którego mistrzowska ręka dobywała z gitary tak powabne wdzięki, hrabiego Rodrigo Manfredoni.

Teraz wyjaśniła się jéj przyczyna zapytania jéj młodéj pani, a resztę wątpliwości rozproszyła pieśń którą zaucił hrabia:

Czy spi twoje oko, czy czuwa w téj chwili?
To oko, co błyszczy jak gwiazda na niebie,
Ah! niech się z okienka w tę stronę wychyli,
Gdzie czekam w gondoli na ciebie.

Ten powiew co lekko ochłodził me lica,
Dotykał zapewnie anielskiéj twéj twarzy,

To tchnienie co pierś mą tak mile zachwyca,
To ogień co w sercu twem żarzy.

Spij słodko, spokojnie, śród błogiéj téj cisze,
Nad tobą anioły czuwają w téj dobie,
Myśl twoję niech we śnie mój obraz kołysze,
Ja tylko wciąż marzę o tobie.

Ah! gdybyś ty mogła zobaczyć choć we śnie,
Jak słodko, jak lubo me serce dziś bije,
Co dawniéj cierpiało okrutnie boleśnie,
Dziś szczęsne, bo tobą dziś żyje!

Izotta siedziała zarumieniona z spuszczonemi w ziemię oczyma, eby ich wilgotny blask nie zdradził jak bacznie słuchała każdego tonu tego melodyjnego głosu, który znalazł w jéj sercu odpowiadającą strunę.

Beatrix głęboko westchnęła życząc młodéj swéj pani dobréj nocy, ale piękna Izotta zbyt była wzruszoną nowemi rózkosznemi uczuciami które powstały w jej łonie, i dla tego nie uważała nie zwykłéj powagi swéj wiernéj piastunki, która w skutku swego doświadczenia i znajomości świata, przewidywała już niebez-

pieczeństwa grożące spokojności dziedziczki Grimani.

Gondola znikła, a młoda Signora udała się na spoczynek aby marzyć o miłości jak marzą czyste dusze, nim doświadczenie zaćmi blask który młodość na wszystko rzuca.

Każdéj następnéj nocy ukazywała się ta sama Gondola pod balkonem i odzywał się ten sam głos melodyjny; ale tony jego nie drżały już niepewnością, jak przy pierszéj serenadzie bo piękny śpiewak już teraz był przekonany że cel jego miłości jest mu wzajemnym. Piastnnka przywiązana do obojga kochanków łatwo została zjednaną i codziennie nosiła na przemian ich listy, w których oboje wylewali swoje uczncia z całym ogniem młodzieńczéj miłości. Ach! to były dnie szczęścia, i kochankowie czul to dobrze; ale kiedyż szczęście jest długotrwałe.

Wkrotce doszła do uszu piastunki pogłoska, że ręka signory Izotty została przyrzeczcną hrabiemu Barbarigo, młodemu ezlowiekowi niezmiernie bogatemu ale ostrego charakteru, który zatém był zupełną sprzecznością z szlachet-

nym Manfredoni. Na nieszczęście zbyt prędko pogłoska ta potwierdzoną została przez starego Grimani, który oświadczył swojéj córce że za kilka dni zostanie zaręczoną hrabiemu Barbarigo.

Niespodziany ten cios który groził supełnem zniszczeniem szczęścia Izotty, uczynił na nié tak silne wrażenie, że zaledwie nie zemdlała, ojciec jéj odszedł zostawiając ją staraniom wiernéj mamki i sądząc że tylko dziewicza skromność i zadziwienie sprawiło to wzruszenie Izotty którego był świadkiem. Izotta powierzyła całą boleść swoję wiernéj piastunce, i obie niecierpliwie oczekiwały wieczornych odwiedzin Rodriga, aby się z nim naradzić względem środków odwrocenia grożącego ich miłości nieszczęścia.

O zwykłej godzinie zatrzymała się gondola pod balkonem i następująca piosnka doszła do uszu Izotty, z któréj smutném przeczuciem tak źle zgładzały się jéj nadzieją tchnące wyrazy:

Miłość obudza nadzieję
Chociaż serce trwogą tchnie,

Przez nią radość w oku tleje,
Które wprzód roniło łzę.

Złoto, skarby, cenię mało,
Blask nie uszczęśliwi mnie,
Miłość mą nadzieję całą,
Nią mój los rostrzygnie się.....

List zawierający zawiadomienie o tém co jéj ojciec oświadczył został z zwykłym bukietem kwiatów rzucony do gondoli ręką Izotty, ktora ze smutkiem patrzyła za odpływającym kochankiem.

Bardzo wcześnie następnego poranku udała się Beatrix do pałacu hrabiego Manfredoni i przechedząc wielkie puste komnaty i patrząc na ch znikłą świetność, westchnęła nad smutnym widokiem swojéj młodéj pani, któréj nie zostawał inny wybór jak ubóstwo i miłość albo świetność i wstręt. Jednakże własne serce mówiło wiernéj słudze, że signora Izotta w pustym pałacu Manfredonich jeszcze daleko szczęśliwszą będzie niż w wspaniałych gmachach hrabiego Barbarigo którego nie mogła kochać.

Beatrix znalazła Rodriga bladego i smutniéjszego niż kiedykolwiek; wnosząc z jego ponurych oczu i nieporządku w ubraniu poznała, że wcale nie spał.

— Jak się ma twoja młoda pani? zapytał piastunki.

— Ach, panie, smutek ciężko tłoczy jéj serce.

— O ja szalony! zawołał Manfredoni z gwałtowną namiętnością, że na jéj młode, świetne życie, ściągnąłem smutku chmury, które tak długo nad mojém życiem unosiły się. Było to szaleństwem, skłaniać ją do podzielenia tak nieszczęśliwéj miłości, jaką moja zawsze być musi; ale ja zapomniałem o mojéj niedoli, wśród upojenia szczęścia kochania z wzajemnością.

— To szczęście posiadasz pan jeszcze, rzekła piastunka.

— Nie nazywaj tego szczęściem, to jest niedolą, w mojém położeniu. Mamże powabny, ale delikatny kwiatek, z roskosznego błonia na

którem wzrosł i kwitnął, na zimną odludną pustynię przesadzać, na któréj ja żyć muszę. Czy chcesz mi wmówić, że powinienem świetny jéj los z moim smutnym losem połączyć? Czyliż ten bliski upadku dom (tu spojrzał z gorszkim uśmiechem w około) stosownem jest mieszkaniem dla niéj, która wykołysana w przepychu, nie zna nędzy nawet z nazwiska! Spojrzyj na te nagie ściany pałacu moich przodków, i powiedz mi, czy mogę się odważyć jakkolwiek kocham i ubóstwiam Izotę, skłaniać ją aby podzieliła tak smutny jak mój los?

— Ah! westchnęła piastunka, czemuż pan nie pomyślałeś o tém, pierwéj nim pozyskałeś jéj dziewicze serce! teraz, kiedy to serce do ciebie należy, signora Izota niezawodnie nieszczęśliwszą byłaby w blasku bez pana, niż w...

— W nędzy ze mną, chcesz powiedzieć? przerwał Manfredoni i żywy rumieniec oblał jego blade lica.

— Signor, jéj ojciec kocha ją tkliwie, może się da ubłagać, i...

— I najbogatszą z dziedziczek Wenecji odda ubogiemu Manfredoni? zapytał Rodrigo.

— Panie hrabio, odpowiedziała Beatrix, cóżby to było tak nadzwyczajnego! Wasza rodzina jest tak starożytną jak jego i dziedziczki tak bogate jak jego córka łączyły się z waszemi przodkami. Ale jeśliby się opierał, mówiła daléj, znając dobrze nieskończoną miłość swojéj pani, i wiedząc jakby ona była nieszczęśliwą gdyby go stracić miała, dla czegóżbyście nie mieli połączyć się tajemnie przed ołtarzem, przez co przeszkodziłoby się połączeniu jej z innym?

Manfredoni odwrócił się do niéj z dumą, tak iż przestraszyła się powagą jego spojrzenia, kiedy rzekł do niéj: — Zapominasz, że Grimani mógłby mię wtedy uważać raczéj za łupieżcę jego bogatego dziedzictwa, niż za kochanka jego córki!

— Możeszże pan w takim przypadku słuchać głosu dumy? zapytała piastunka z wyrzutem, i więcéj dbać o to co pomyśli jéj ojciec, niż oto co ona cierpieć będzie.

Co daléj mówiła poczciwa piastunka, nie trzeba powtarzać, dość że jéj przedstawienia przy pomocy namiętnéj miłości Rodriga, przemogły jego dumę i że Beatrix poniosła swéj pani list od niego, w którym przysięgał najtkliwszą i najczystszą miłość, jaką kiedykolwiek uczuwać mogło szlachetne, młode serce, ale zarazem wycnował żal swój, że namawia ją do związków, które ją skazują na ubóstwo. Izotta nie słękło się téj wróżby, nie miała ona prawdziwego wyobrażenia o nędzy, wystąwiała sobie tylko mniéj wspaniałe komnaty, mniéj liczną służbę i nie tak wystawne biesiady, a to nie było dla niéj strasznéem. Nie myślała wcale o tém, i zajmowała się tylko szczęściem nierozerwanego połączenia się z kochaukiem. Spodziewała się że jéj ojciec przebaczy jéj piersze i jedyne przestępstwo i pokocha wkrótce jéj męża. Ale gdyby nawet znała w całéj rozciągłości smutne położenie swego kochanka, nie lękałaby się dzielić je: jéj serce zbyt było gorące żeby mogło oziębnąć pod lodowym wpływem ubóstwa.

— Szlachetne poświęcenie Izotty przemogło resztę dumy walczącéj w piersiach Rodriga, i postanowiono w końcu, że następnéj nocy Izotta okrywszy się mantylą siostrzenicy swéj piastunki, wyjdzie z nią z pałacu swego ojca, i na pobliskiéj ulicy znajdzie Rodriga, który miał zaprowadzić ją do kościoła, gdzie już miał oczekiwać kapłan, któryby ich ręce połączył świętym węzłem małżeńskim. Z rana tego fatalnego dnia, ojciec Izotty przyprowadził do jéj pokoju hrabiego Barbarigo, przedstawiając go jako wybranego dla niéj oblubieńca. Drżąca dziewica chciała coś przemówić, ale słowa skonały na jéj ustach, stary Grimani oddalił się zostawiając hrabiemu Barbarigo wolność zjednania sobie przychylnéj odpowiedzi. Izota najsilniéjszym wstrętem przejętą była dla tego młodzieńca, w którym poznała owego żartownisia, co tak nieczule i pogardliwie mówił o ubóstwie jéj kochanka, na uczcie przy któréj po pierwszy raz zobaczyła go! Barbarigo obsypał ją potokiem pochlebstwa, i wyrażał ukontentowanie z posiadania tak pięknéj zdobyczy, któréj mu bezwątpienia wszyscy zazdrościć będą, uchwy-

cił jej drżącą rękę i byłby ją do ust swoich przycisnął, gdyby jéj była szybko nie usunęła, dodając, iż chociaż jego życzenie potwierdzone zostało przez jéj ojca, jednak ona jeszcze wcale nie przychyliła się do tego. Z podziwieniem z jakiém słuchał tego oświadczenia, mięszało się więcéj nieukontentowania, niżby go powinien okazać młody człowiek w obec kobiety o któréj przychylność ma się starać, i ton jego był więcéj niż niedelikatny, kiedy zapytał, czy odrzuca jego żądania dla tego że innego nad niego przekłada, czy też że jego osoba niepodobała się jéj. Izotta uczuła obrażoną swoję kobiecą godność i dla ukarania go odpowiedziała, że uważa to za dostateczne, kiedy mu oświadcza iż stanowczo nie przyjmuje jego zalotów. To mówiąc wyszła z pokoju.

Grimani prawie tyle był zdziwionym, a bardziej może rozgniewanym jak Barbarigo, kiedy mu tenże doniósł o niepomyślnym wypadku swojéj rozmowy z jego córką.

— Wierz mi, hrabio, rzekł odrzucony kochanek, z zadowoleniem przeglądając się w zwier-

ciedle, ona musi kochać innego, inaczéj nie byłaby tak stanowczo odrzuciła mojéj ręki.

— O tém, żeby innego kochała, nie mogę nawet pomyśléć, odpowiedział Grimani, bo od czasu uczty danéj na jej urodziny, nie widziała żadnego mężczyzny prócz mnie i swego spowiednika. Muszę ja zgłębić powody tego niepojętego dla mnie odmówienia, i niewątpliwie skutek okaże, że niedługo będzie nieubłaganą dla twoich życzeń.

Grimani pobiegł do pokoju swojéj córki, z uniesieniem wyrzucał jéj przykroś ć jaką mu sprawiła i zapytał surowo dla czego jest nieposłuszną jego życzeniu.

Signora Izotta wyznała drżąc wstręt jaki czuje do dzikiego Barbarigo, a potém padłszy na kolana ze łzami wyrzekła że kocha innego.

— Jak? kiedy? i gdzie? zapytał zdziwiony i rozgniewany Grimani, widziałaś tego którego kochasz. Kto on jest, powiedz natychmiast, rozkazuję ci!

Zaledwie Izotta z cicha wymowiła imie Man-

fredoniego, gniew jéj ojca doszedł do najwyższego stopnia.

— Co! krzyknął, chcesz zaślubić żebraka,— człowieka którego dom zawalający się stosownym jest tylko na mieszkanie nieczystych nocnych ptaków? Człowieka, który przez swoję niepojętą dumą i zupełne ubóstwo stał się pośmiewiskiem całéj szlachty? To nie podobna, aby moja córka mogła być tak szaloną, a gdyby nawet tak było, potrafię przezwyciężyć to szaleństwo.

Łagodność byłaby może zmiękczyła uczucia Izotty, ale pogardliwe wyrażenia jakich użył jéj ojciec obudziły w niéj dumę i ambicję które dotychczas były jej obcemi i kiedy stary Grimani wyszedł śród pogróżek przeciw niej i jéj kochankowi, utwierdziła się w myśli że za kilka godzin będzie żoną Rodriga i przez swoję nieograniczoną miłość nagrodzi mu wzgardę i poniżenie jakie dla ubóstwa swego znosić musi. O oznaczonéj godzinie Izotta w ubiorze siostrzenicy swéj wiernej piastanki prowadzona, przez nią, wyszła drżąc z pałacu, gdzie tak

szczęśliwie i spokojnie swoję młodość spędziła; znalazła Manfredoniego w umowionėm miejscu i udała się z nim do koscioła, gdzie kapłan połączył ich nierozerwanym związkiem. Nigdy błogosławieństwo kościoła nie połączyło dwóch serc, ktoreby się tkliwiéj kochały jak Rodryga i Izoty.

Miłość ich tak szybko rozwinęła się że nie znaleźli nigdy sposobności widzenia się zbliska od owéj pamiętnéj uczty, a myśl wkradania się tajemnie do pałacu Grimani, i obrażenia tym sposobem delikatności téj, która mu stokroć była droższą niż własne życie, nigdy nie powstała w duszy szlachetnego Rodriga. Lecz teraz, jako małżonek Izoty miał już prawo wejść do niéj, i piastunka chętnie wzięła drabinkę sznurową którą jéj dał Manfredoni przy wyjściu z kościoła, a którą miała umocować u balkonu i zrzucić do Gondoli skoro ją ujrzy pod oknem.

Z trudnością rozłączyli się małżonkowie

przyszedłszy prawie przed drzwi pałacu Grimani, i tylko pocieszali się nadzieją ujrzenia się znowu wkrótce. Piastunka długo musiała prosić nim ręce kochanków które się pierszy raz dotykały, zdołały się rozdzielić.

Młoda małżonka i jéj piastunka doszły do swoich komnat nie postrzeżone od nikogo. Drabinka sznurowa została silnie umocowaną do okna balkonu. Ileż razy i z jaką dumą Izota przyciskała do ust złoty pierścień, godło ślubu, który przed kilku minutami został pobłogosławiony przez kościół; jakże często powtarzała sobie, że teraz nawet jéj ojciec nie zdoła ich rozłączyć. Udała się na spoczynek, a piastunka usłyszawszy że gondola przybiła do brzegu zrzuciła drabinkę i przekonawszy się że taż wpadła w gondolę, oddaliła się z sypialni Izoty zaleciwszy jéj aby jak najciszéj rozmawiała z swoim mężem, z obawy aby ich nie usłyszano.

W téj chwili Rodrig już był na balkonie a Izotta w jego objęciu.

Dwie godziny szybko upłynęły, kiedy wtem Grimani wpadł do pokoju swéj córki z ośmiu uzbrojonemi ludźmi, którzy utopili sztylety w piersiach meżczyzny na którego ramieniu spoczywała głowa Izotty, i którego krzyk śmierci obudził ją z snu roskoszy.

Podejrzenie o tajemnych schadzkach kochanków spowodowało starego Grimani, że kazał pilnować swoim służącym wszystkich wnijść do pałacu. Stróże ci postrzegli że ktoś po sznurowéj drabince wstąpił do okna sypialni signory Izotty, ale pan ich który się wtedy znajdował na radzie w pałacu doży, dowiedział się o tém dopiero w dwie godziny późniéj i nie przypuszczając że córka jego zaślubioną jest z Manfredonim, postanowił krwawo pomścić chańbę swoję i dokonał tego nieszczęśliwego przedsięwzięcia.

Błysk pochodni padający na twarz zamordowanego małżonka, okazał nagle Izocie całą okropność jéj nieszczęścia, i po-

mięszał jéj zmysły. Od téj chwili aż do skonu który w kilka dni nastąpił, całowała tylko pierścień ślubny i wołała po imieni u swe go męża.



MOGIŁA.

(*piosnka gminna*)

Na dolinie przy strumyku,
Gdzie drożyna się rozdziela,
Stoi krzyżyk, na krzyżyku
Święty obraz zbawiciela.

Pod krzyżem klęczy dziewica,
Czerna ją szata osłania,
Łzą smutku błyszczy żrenica
I częste słychać wzdychania.

— Pokim to płaczesz dziewico miła,
Czy ojciec ze szedł ze świata,
Czy matkę kryje ta tu mogiła
Czy twoją siostrę czy brata?

— Ni ojciec zeszedł ze świata tego
Ani mi bracia pomarli,
Ale kochanka serca mojego
W téj tu mogile zawarli.

Odtąd co wieczór, odtąd co rano,
Przychodzę płakać méj straty,
Rozmawiać z duszą jego kochaną
I łzami polewać kwiaty.

J. B. W.



SPIS RZECZY

W TOMIE II. ZAWARTYCH.